DUNAJEC

TYGODNIK PZPR

Nr 29 (40) ROK II Nowy Sącz, 19 lipca 1981 Cena 6 zł

Otton Jaworski

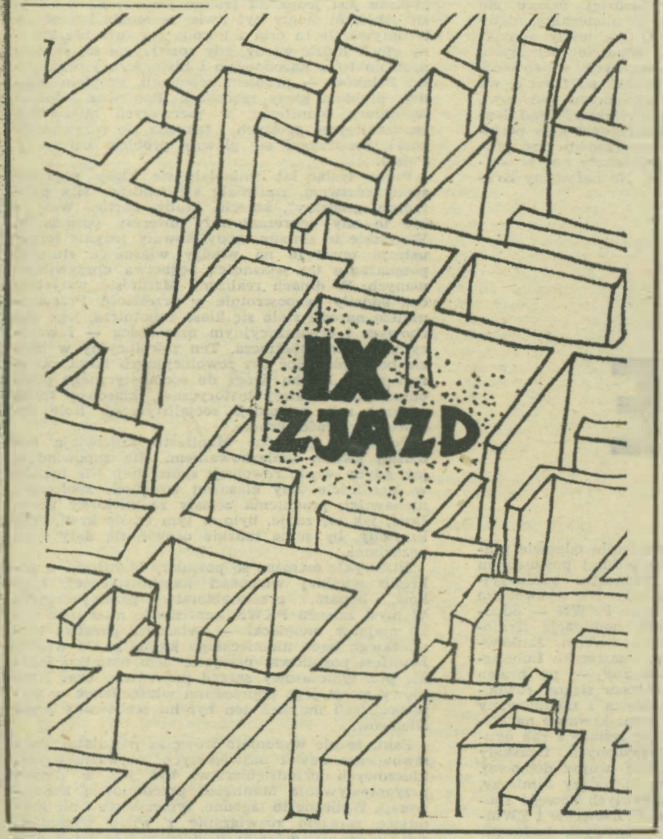

Do Narodu Polskiego!

Polacy w kraju i na emigracji!
Polacy w niewoli niemieckiej!
Wybiła godzina wyzwolenia. Armia Polska obok Armii Czerwonej przekroczyła Bug. Żołnierz polski bije się na naszej ziemi ojczystej. Nad umęczoną Polską powiały znów biało-czerwone sztandary.
Historia i doświadczenia obecnej wojny dowodzą, że pod naporem germańskiego imperializmu ochronić może tylko zbudowanie wielkiej słowiańskiej tamy, której podstawą będzie porozumienie polsko-sowiecko-czechosłowackie.
W imieniu Krajowej Rady Narodowej Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego obejmuje władzę na wyzwolonych terenach Polski. Ani chwili na ziemi polskiej, uwolnionej od najazdu niemieckiego, nie może działać żadna inna administracja prócz polskiej.
Rodacy!
Aby przyspieszyć odbudowę kraju i zaspokoić odwieczny pęd chłopstwa polskiego do ziemi, Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego przystąpi natychmiast do urzeczywistnienia na terenach wyzwolonych szerokiej reformy rolnej. Państwo popierać będzie szeroki rozwój spółdzielczości. Inicjatywa prywatna, wzmagająca tętno życia gospodarczego, również znajdzie poparcie państwa. Jednym z najpilniejszych zadań będzie na terenach oswobodzonych odbudowa szkolnictwa i zapewnienie bezpłatnego nauczania na wszystkich szczeblach.
Rodacy!
Stoją przed nami gigantyczne zadania.
Będziemy je realizować dalej niezłomnie i zdecydowanie. Odrzucimy precz warchołów, agentów reakcji, którzy przez rozbijanie jedności narodowej, przez próby prowokowania walk między Polakami idą na rękę hitleryzmowi. Zadania wyzwolenia Polski, odbudowy państwowości, doprowadzenia wojny do zwycięskiego końca, uzyskania dla Polski godnego miejsca w świecie, rozpoczęcia odbudowy zniszczonego kraju — oto nasze naczelne zadania. Nie można tych zadań urzeczywistnić bez jedności narodowej. Wykuwaliśmy tę jedność w ciężkiej walce podziemnej. Powstanie Krajowej Rady Narodowej było wyrazem jej urzeczywistnienia się. Powstanie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego jest dalszym krokiem na tej drodze.

Fragmenty Manifestu PKWN — 22 lipca 1944

LIST DO ZJAZDU

Bardzo bym radził przedsięwziąć na tym zjeździe szereg zmian w naszej strukturze politycznej.

Na pierwszym miejscu stawiam powiększenie liczby członków KC do kilkudziesięciu lub nawet do stu.

Sądzę, że taka rzecz jest potrzebna i dla podniesienia autorytetu KC, i dla poważnej pracy nad usprawnieniem naszego aparatu, i dla zapobieżeniu temu, by konflikty między niewielkimi odłamami KC mogły zaciążyć w zbyt wielkim stopniu na losach partii w całości.

Im więcej będzie członków KC, tym mniejsze będzie niebezpieczeństwo rozłamu w wyniku jakiegoś nieostrożnego kroku. Wciągnięcie wielu robotników do KC dopomoże robotnikom w usprawnieniu naszego aparatu, który jest bardzo zły.

Wyobrażam to sobie w ten sposób, że **KILKA DZIESIĄTKÓW ROBOTNIKÓW, WCHODZĄC W SKŁAD KC, POTRAFI LEPIEJ NIŻ KTOKOLWIEK INNY ZAJĄĆ SIĘ KONTROLĄ, USPRAWNIANIEM I PRZEOBRAŻANIEM NASZEGO APARATU.** Robotnicy wchodzący w skład KC powinni się rekrutować, moim zdaniem, przede wszystkim nie spośród tych, którzy mają już za sobą długi okres służby w aparacie radzieckim (do robotników w tej części mego listu zaliczam również chłopów), gdyż wśród tych robotników wytworzyły się już pewne tradycje i pewne uprzedzenia, których zwalczanie jest właśnie pożądane.

W poczet robotników – członków KC powinni wejść przeważnie robotnicy stojący poniżej owej warstwy, która awansowała u nas w ciągu pięciu lat na pracowników aparatu radzieckiego i stojący bliżej szeregowych robotników oraz chłopów. Sądzę, że tacy robotnicy, będąc obecni na wszystkich posiedzeniach KC, na wszystkich posiedzeniach Politbiura, czytając wszystkie dokumenty KC, mogą utworzyć kadrę oddanych zwolenników ustroju radzieckiego, którzy potrafią, po pierwsze, nadać więcej trwałości samemu KC, po drugie – rzeczywiście pracować nad odświeżeniem i usprawnieniem aparatu.

LENIN

Zbigniew Załuski

O MANIFEŚCIE

Lato było upalne i chmury żółtego, pustynnego kurzu wisiały nad polskimi drogami między Bugiem i Wisłą, okrywając niezliczone czworoboki piechoty, kolumny czołgów i dział, ciągnące na zachód. Zieleń była gęsta, soczysta, samym swym widokiem orzeźwiająca, chroniła dobrze od lipcowego znoju, od oczu wroga — żandarma, esesmana czy hitlerowskiego lotnika.

Wojska szły z daleka. Kurz polskich dróg pokrywał teraz setki tysięcy krasnoarmiejskich bluz, wyblakłych od słońca stepowego pod Stalingradem, zrudziałych w ogniu pożarów i w dymie bitwy kursko-orłowskiej, zszarzałych od kąpieli w wodach Donu, Dniepru i Prypeci.

Zielone mundury polskich żołnierzy — tych z obozu sieleckiego, spod Lenino i Darnicy — pokrywał ten sam pył dla nich pierwsza garstka ziemi ojczystej.

Wojska szły ku Wiśle, ku Berlinowi, ku zwycięstwu. Oddziały partyzanckie wynurzały się z lasów, by wyzwalać rodzinne wsie, zajmować pobliskie miasteczka.

Nad przeprawami na Bugu, na skrzyżowaniach dróg zapchanych kolumnami wojska i karawanami chłopów wracających z leśnego ukrycia do swych wsi, potężne głośniki zamontowane na samochodach grzmiały tymi samymi słowami, a na wiejskich opłotkach, na przydrożnych słupach, na samotnych drzewach obok kapliczek na wiejskich rozstajach żołnierze nowej władzy, żołnierze w starych przedwojennych mundurach bądź tylko w cywilnym łachu, lecz z biało-czerwoną opaską i zdobycznym karabinem, rozklejali wielką zadrukowaną płachtę z nowym słowem i portretami nowych przywódców. Był dzień 22 lipca 1944 roku. Rodziła się nowa Polska.

Gdy dziś po latach pochylamy się nad kartą Manifestu, ze zżółkniętego papieru, z wyblakłych, zatartych liter, ze słów mówiących o sprawach dawno zamkniętych bije jednak żar jakiś, niewygasła gorącość uczuć — serdecznego bólu, wielkiej wiary, szczerych nadziei. Żar tamtego czasu. Pod warstwą historycznego popiołu widzimy barwę tych słów, czujemy ich smak — smak epoki naszej młodości, tamtego przełomowego lata, które na zawsze, do końca dni naszych zostanie w nas jako wspomnienie o największym historycznym doznaniu życia.

Piórem autorów Manifestu wodziła cała Polska postępowa kultura polityczna, cała wiekowa tradycja myśli rewolucyjno-demokratycznej i patriotycznej. Brzmią w nim echa przemyśleń Frycza-Modrzewskiego i Jana Zamoyskiego, Staszica i Kołłątaja, Ściegiennego i Warskiego, Mochnackiego i Marchlewskiego. Tworzyła go, słowo po słowie, rzeczywista potrzeba polskiego życia, tradycyjnym polskim słowem wyrażona; pisali go bowiem ludzie wychowani w tej kulturze, ukształtowani przez to życie: ludzie polskiej historii, jej kontynuatorzy, jej współtwórcy. komuniści i młodzi ZWM-owcy, PPR-owcy i ludowcy, ludzie dawnej PPS i demokraci, żołnierze i partyzanci, chłopi i robotnicy, nauczyciele i inżynierowie.

Ratowanie biologicznej substancji narodu było wciąż jeszcze najważniejszym zadaniem Polaków. To zaś wymagało wysunięcia na plan pierwszy sprawy wojny i wyzwolenia. A więc sprawy współpracy z frontem wschodnim — z Armią Radziecką, ze Związkiem Radzieckim. Sprawy koncepcji zwycięstwa.

10 miesięcy trwał wojenny wysiłek PKWN. W lipcu miał PKWN 100 tysięcy żołnierzy, do grudnia przetrzebiona, zdziesiątkowana, ledwie 5,5-milionowa ludność terenów wyzwolonych dała z siebie 285 tysięcy zbrojnych, w maju 1945 roku było ich prawie 400 tysięcy. Lipiec—maj — ledwie, próg nowego czasu! Wtedy 10 długich trudnych, krwawych miesięcy.

2 maja 1945 roku o świcie kapitan Michał Nowotny, dowódca 1 baonu 3 dp polskiej 1 DP im. Tadeusza Kościuszki, opierając blok meldunkowy o filar Bramy Brandenburskiej, podpisał akt o spotkaniu wojska polskiego z żołnierzami radzieckimi 39 dywizji gwardii 1 Frontu Ukraińskiego — w centrum Berlina. Było to pierwsze wystawione przez historię pokwitowanie spełnienia postulatów Manifestu, wykonania przez nową władzę nakazów narodu, obowiązku wobec ojczyzny.

Manifest Lipcowy nie proklamował rewolucji społecznej, PKWN nie mienił się rewolucyjnym rządem. Jego władza rodziła się jakby naturalnie, z zamanifestowania, przytłoczonej dotąd grozą okupacji, woli narodu. Działała ona w imieniu ujawniających się, tkwiących dotąd w głębokiej konspiracji, rad narodowych. Jego funkcje rządowe powstają niejako z konieczności, pod przymusem wydarzeń. Mówi Manifest: **„W chwili wyzwolenia Polski, w chwili, gdy sojusznicza Armia Czerwona i wraz z nią Wojsko Polskie wypędzają okupanta z kraju, w tym momencie musi powstać legalny ośrodek władzy, który pokieruje walką narodu o ostateczne wyzwolenie".** Prawa rządu polskiego w Londynie i jego delegatury w kraju Manifest kwestionuje, ponieważ rząd ten **„jest władzą samozwańczą, władzą nielegalną"** i **„swą awanturniczą polityką pchał Polskę ku nowym katastrofom".**

Pozornie więc — „zmiana warty" przy narodowym sterze, kryzys gabinetowy, gdy jedna koalicja rządząca ustępuje miejsca drugiej... A przecież w istocie akt ten miał charakter rewolucyjny. Ujawniał realnie istniejące dwa przeciwstawne sobie światy, dwie Polski. Dwuwładzę, jakże charakterystyczną dla kryzysów rewolucyjnych i wojny domowej. Proklamował rewolucyjne rozstrzygnięcie dziejowego sporu. Oba polskie nurty miały swój potężny zakres wpływów w społeczeństwie, oba miały swe „państwa podziemne", skryte przed okupantem, lecz moralnie bardziej liczące się w duchowym życiu Polaków niż nielegalna, nigdy nie uznana władza okupanta. Oba miały ośrodki orgnizacyjne na emigracji, poparcie potężnych, a przeciwstawnych sobie światowych sił społecznych. Oba miały regularne wojska na froncie, we wspólnej walce przeciw wspólnemu wrogowi, a jednak głęboko sobie przeciwstawne. Rząd londyński był ostatnim w Polsce rządem klas posiadających. PKWN — pierwszym rządem klas pracujących. Ileż długich miesięcy trwały one w walce politycznej przeciwko sobie. Na narodziny Krajowej Rady Narodowej w podziemiu odpowie prawica polska w trzy miesiące później powołaniem Rady Jedności Narodowej, namiastki burżuazyjnego parlamentu w konspiracji. Na wyzwolenie Chełma i Lublina, na powołanie PKWN — odpowie powstaniem warszawskim, nominacją Krajowej Rady Ministrów z wicepremierem Jankowskim na czele. A w niejednym miasteczku Lubelszczyzny, Podlasia, Rzeszowszczyzny — po prawo wywieszenia sztandaru na ratuszu sięgną równocześnie: miejscowa rada narodowa i nominowany przez Londyn starosta. Gdy front krwawił na Wiśle, gdy co dzień jeszcze ginęły tysiące z rąk okupanta — na ziemiach wyzwolonych trzaskały pierwsze strzały małej polskiej wojny domowej. W ciągu 4 lat poległo w niej 10 tysięcy żołnierzy, milicjantów, aktywistów politycznych nowego społeczeństwa, przede wszystkim PPR-owców i ZWM-owców — rzeczywistych, szeregowych budowniczych Polski Ludowej. I padło też — nie mniej chyba — obrońców starego porządku, jakże często siłą nawyku, lojalności, tradycji, nieświadomości i obaw wtrąconych w wir walki o nie swoje, nie własne, a ojczyźnie szkodzące hasła, postulaty, interesy.

Sztuka zwycięstwa w wojnie domowej polega nie na umiejętności zburzenia Bastylii, zdobycia Pałacu Zimowego czy innej siedziby znienawidzonego rządu. Sztuka polega na osiągnięciu zwycięstwa w walce o „rząd dusz", na zdobyciu niepewnych, na moralnym zneutralizowaniu nie przekonanych, izolowaniu niezłomnych, a przede wszystkim na odzyskaniu dla nowego wszystkich tych ludzi, jakże często wartościowych, których bezwład historii zgromadził w „okopach Świętej Trójcy".

Nie minął rok, jak przestał istnieć „Londyn", lecz długo jeszcze toczyła nowa władza walkę o pozyskanie zaufania wszystkich zagubionych, o zjednoczenie wszystkich nieufnych, a pragnących jednak służyć ojczyźnie i zdolnych pracować dla społeczeństwa. Dziś wiemy: niejedną ulicę w socjalistycznej Warszawie wytyczyli ludowi inżynierowie — niegdyś żołnierze „londyńskich" batalionów, przeznaczonych pierwotnie na przyszłą ostoję zbrojną burżuazyjnego państwa. Niejedno osiedle robotnicze zbudowali wierni niegdyś zwolennicy burżuazyjnego rządu. Krew przelana w sprawiedliwej walce z najeźdźcą zyskała należne uszanowanie, ofiarność — nagrodę, fałszywe zaś koncepcje rozwiał wicher historii, a sami ich wyznawcy o nich zapomnieli. Najtwardsi nawet...

Odeszli w niebyt historii: Raczkiewicz, Mikołajczyk, Sosnkowski. Anders, Bór. Niejeden z ich niegdyś współpracowników po dwudziestu nawet latach uporu spakował walizkę i wrócił do kraju: „Polska jest jedna". I trudno już dzisiaj wyobrazić sobie, że mogły być dwie, że mogła istnieć alternatywa, że za orła z koroną czy orła bez korony ginęli ludzie wtedy, gdy rozstrzygał się główny problem bytu narodowego i historycznej przyszłości Polaków — problem rewolucji, problem władzy, problem klasy rządzącej. Ponieważ właśnie w dniach Manifestu, w pierwszych miesiącach realizacji jego prostych i tak zda się oczywistych haseł, rozstrzygał się główny problem ustrojowy Polski.

Przez tysiąc lat zmieniały się klasy rządzące społeczeństwem, zmieniały się rządzące siły polityczne, „rodziny", koterie, kluby, partie. Wszystkie te siły reprezentowały interesy posiadaczy. Wszystkie te zmiany modyfikowały jedynie formy ustroju opartego na władzy własności, służącej pomnażaniu tej własności, bogactwa uprzywilejowanych. W dniach realizacji Manifestu wszystkie one odeszły bezpowrotnie w przeszłość. Przewodnikiem narodu stała się klasa robotnicza, jego duchowym i organizacyjnym przywódcą — rewolucyjna partia robotnicza. Ten rewolucyjny w istocie przewrót, choć bez rewolucyjnych haseł, otworzył przed Polską drogę do socjalistycznego przeobrażenia. W swej historycznej, klasowej treści odegrał rolę rewolucji socjalistycznej. Rolę radzieckiego Października.

Postulaty społeczne Manifestu zadziwiają nas dzisiaj swoim umiarkowaniem. Nie zapowiadają jak gdyby wcale rewolucji społecznej. Nie brzmią w Manifeście tony klasowej wrogości, społecznej nienawiści, pragnienia zemsty za wiekowy ucisk. Dość, jak się zdaje, było w tym czasie krwi, dość krzywdy, by serca ludzkie ożywić się dały tymi uczuciami...

Niezwykle ostrożne są postulaty Manifestu w zakresie wielkiej własności kapitalistycznej, banków, kopalń, przedsiębiorstw przemysłowych. W myśl zaleceń PKWN, konfiskacie miał ulec tylko majątek niemiecki — własność państwa niemieckiego bądź niemieckiego kapitału. Co więcej, Manifest postulował przejęcie tego majątku jedynie pod tymczasowy zarząd państwowy oraz stopniowy zwrot jego poprzednim właścicielom w wypadku, jeśli majątek ten był im zrabowany przez Niemców.

Fakt, że nie wysunięto wówczas postulatu upaństwowienia nawet największych, najważniejszych, kluczowych przedsiębiorstw, był już w dniach przygotowywania Manifestu przedmiotem kontrowersji. Wybrano to łagodne, tymczasowe i nie krępujące zarazem rozwiązanie z wielu względów, między innymi moralnych, gdyż w finale tak długiej, ciężkiej, okrutnej wojny i niewoli zasada naprawienia krzywd wyrządzonych przez okupanta traktowana była przez społeczeństwo jako moralnie nadrzędna. Z drugiej strony, nader rozważnie, nie chciano z góry komplikować sobie stosunków z kapitałem zagranicznym, za którym stały potężne, a zarazem aktulnie sojusznicze kapitalistyczne państwa zachodnie.

W tym jednak punkcie życie absolutnie nie chciało słuchać ostrożnych zaleceń Manifestu. Od Sanu po Zalew Szczeciński, od Nysy po Wisłę leżały bezpańskie ruiny, a wśród gruzów grzebali jedyni, realnie istniejący gospodarze dawnych swoich warsztatów pracy — robotnicy, wyszukujący nieraz cudem ocalałe resztki narzędzi, osprzętu i maszyn.

Czy w tych warunkach można było mówić o prawie własności, o zwrocie fabryk dawniejszym właścicielom?

Nie ma w Manifeście słowa „socjalizm". Nie znajdziecie w nim słowa „marksizm" ani rewolucyjnych wezwań. Przez istotę swoich rozstrzygnięć ogłasza on jak gdyby rewolucję bez rewolucyjnej frazeologii. Jest marksistowski z ducha, a nie w słowach, w terminologii. Jest socjalistyczny w istocie rozwiązań ustrojowych, do których otwiera drogę, a nie przez puste proklamacje. Jest zastosowaniem najgłębszej istoty marksizmu do polskiej historycznie ukształtowanej rzeczywistości i genialnym zastosowaniem motorycznej siły socjalizmu dla spotęgowania twórczych sił patriotycznych naszego narodu. Jest nieśmiertelnym pomnikiem Polskiej Partii Robotniczej, która pierwsza w Polsce potrafiła sprzęgnąć ideę rewolucyjną z losem narodu, a los narodu na zawsze z socjalizmem.

Fragmenty obszernej pracy pułkownika Zbigniewa Załuskiego, przygotowanej na 30. lecie Polski Odrodzonej.

NASZA DROGA NA IX ZJAZD

Stanowisko nowosądeckiej organizacji partyjnej kształtowało się już w czasie kampanii sprawozdawczo-wyborczej. Wiele zgłoszonych wówczas wniosków wymagało jednak przeanalizowania i dopracowania. Podjęli się tego zadania delegaci, pracując przed Zjazdem w czterech grupach problemowych, organizując narady i spotkania konsultacyjne z przedstawicielami różnych środowisk z terenu naszego województwa.

Przez kilka dni towarzyszyłam pracom Wojewódzkiego Zespołu Delegatów. Oto co zanotowałam:

1 lipca — godzina 9.

Dyskusja nad przesłanym do zaopiniowania projektem regulaminu wyborczego. Spotkanie prowadzi przewodniczący zespołu, I sekretarz KW PZPR, Józef Brożek.

Na wstępie przegłosowano udział pozaczególnych delegatów w pracach komisji zjazdowych. Do Prezydium Zjazdu zaproponowano Tadeusza Świdraka, do Komisji Mandatowej — Stanisława Siemaszkę, do Komisji Uchwał i Wniosków — Antoniego Rączkę, do Komisji Statutowej — Leona Morańskiego, do Komisji Wyborczej — Józefa Brożka, do Komisji Skrutacyjnej — Jerzego Skrzypskiego, do Komisji Odwołań — Władysława Michalusa i wreszcie do Sekretariatu — Franciszka Rusnarczyka. Ponadto delegaci desygnowali kandydatów do władz centralnych. Józefa Kurdzielewicza, Aleksandra Kuśnierza i Barbarę Kozłowską na członków Komitetu Centralnego, Józefa Brożka na zastępcę członka KC, do Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej — Władysława Michalusa i Stanisława Borysia, a do Centralnej Komisji Rewizyjnej — Helenę Dziewolską i Jerzego Miśkowca.

Godzina 10.30

Władysław Michalus, Stanisław Siemaszko i Tadeusz Świdrak spotkali się z aktywem partyjnym organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości.

Halina Garlej (Sąd Rejonowy w Nowym Sączu): — *Chcemy, żeby nasze wyroki były szybko i skutecznie realizowane, bo od tego zależy autorytet wymiaru sprawiedliwości. Tymczasem przykładowo: egzekucja wyroku o eksmisję z mieszkania leży w gestii administracji i trwa przeciętnie, bagatela... 10 lat. Tak więc orzeczenie sądu pozostaje praktycznie na papierze. Podobnie wygląda realizacja wyroków w sprawach gruntowych. Ograniczone są także możliwości sądu w wydawaniu decyzji o areszcie. Podam paradoksalny przykład: w wypadku niesumiennego dłużnika wierzyciel musi pokryć koszty jego pobytu w areszcie! Nowelizacja ustaw Kodeksu Postępowania Cywilnego i Kodeksu Karnego jest konieczna. Pozwoli nam — jak sądzę — odzyskać utracone zaufanie społeczeństwa do prawa i praworządności.*

Aleksander Wrotniak (KW MO w Nowym Sączu): — *Naszym podstawowym zadaniem jest utrzymywanie porządku i bezpieczeństwa publicznego. Tymczasem nałożono na nas odpowiedzialność za zwalczanie alkoholizmu, wychowywanie nieletnich, prowadzenie spraw meldunkowych, ochronę przeciwpożarową. I jeszcze jedna sprawa: likwidacja komend powiatowych sprawiła, że milicja straciła dużo ze swej operatywności, a przestępcy zyskali. Trzeba powrócić do tworzenia komend rejonowych.*

Wojciech Wieczorek (Sąd Rejonowy w Nowym Targu): — *Zastanówmy się, co chcemy osiągnąć: resocjalizację alkoholików i pasożytów? czy izolować ich od społeczeństwa? A jeżeli tak, to na jak długo? I czy przyniesie to oczekiwane rezultaty? Całe nieszczęście w tym, że operujemy niesłychanie pojemnym i nieprecyzyjnym pojęciem pasożyta społecznego. Ustawa o marginesie społecznym upadła w 1968 roku ponieważ za jedyne kryterium uznano wówczas uchylanie się od pracy. Tak więc student na urlopie dziekańskim mógł być już poczytywany za pasożyta. Trzeba przede wszystkim przyjąć rozsądne wyróżniki. Drugą sprawą: alkoholizm od pewnego momentu staje się chorobą, którą trzeba leczyć. W obecnej sytuacji pojawia się jednak pytanie: czym leczyć i gdzie? Całe nasze województwo dysponuje rocznie 30 łóżkami w Kobierzynie, a na leczenie odwykowe oczekuje 670 pacjentów. To nic innego, jak walka z wiatrakami. Jeżeli nie zgromadzimy pieniędzy na utworzenie placówek lecznictwa odwykowego, a później rehabilitacji, nie rozwiążemy problemu pasożytnictwa. Kolejna sprawa: należy zreorganizować MO. Ograniczyć kadrowo posterunki, stworzyć silne komendy. Przestępczości nie zlikwidujemy przy pomocy sierżanta i posterunkowego.*

Mówca postulował ponadto:

— Utworzyć podległy Sejmowi Trybunał Stanu.

— Nadać Sądowi Najwyższemu uprawnienia Trybunału Konstytucyjnego.

— Zwiększyć uprawnienia organów samorządowych. Zwiększyć niezależność materialną sędziów.

— Uregulować ustawowo rolę radcy prawnego; uniezależnić jego opinię od dyrekcji.

Przedstawiciel Komisariatu Kolejowego w Nowym Sączu, Wilhelm Grygiel: — *Obawiam się, że te wszystkie sprawy nie będą mieć racji bytu na Zjeździe. Bowiem do głównych zadań najwyższego forum partyjnego należą: opracowanie sposobów wyjścia z kryzysu, przywrócenie partii autorytetu, wybór mądrego, sprawnego kierownictwa. Sądzę, że wnioski z naszej dyskusji powinniśmy przesłać do Wydziału Administracyjnego KC i do poszczególnych ministerstw.*

2 lipca — godzina 10

Spotkanie delegatów Wiktora Czartoryskiego, Józefa Kurdzielewicza i Jerzego Skrzypskiego z przedstawicielami służby zdrowia. Zaproszono około 50 osób, przybyło niewiele ponad 20. Nikt nie reprezentował Szczawnicy, Wysowej, Rabki.

Ogólne wrażenie — przygnębiające. Kryzys nie ominął służby zdrowia, czego skutki odczuwają pacjenci, oczekując godzinami na poradę lekarską, tygodniami — na wykonanie badania diagnostycznego, miesiącami wreszcie — na łóżko w szpitalu.

Wiele rozmaitych przyczyn złożyło się na katastrofalny stan naszego lecznictwa. Wszyscy dyskutanci wskazywali, że nasza służba zdrowia świadczy usługi dla całej Polski (20 procent pacjentów w przychodniach dentystycznych stanowią turyści, a na oddziale urazowym w zakopiańskim szpitalu jest ich 90 procent), wskaźniki zaś są obliczane w stosunku do stałych mieszkańców. Zresztą i tak są one poniżej średniej krajowej.

Nie zdały egzaminu w naszym województwie ZOZ-y. Mówił o tym między innymi Jerzy Masior. One to sprawiły, że lekarze — specjaliści wysokiej klasy zamiast stać przy łóżku chorego, zajmują się papierkową robotą. Ta struktura organizacyjna wprowadziła także bałagan, zacierając jasny dotychczas podział lekarzy na zatrudnionych w lecznictwie otwartym i w szpitalach — a każde z tych miejsc pracy wymaga przecież nieco innych umiejętności.

Ryszard Florków stwierdził, że kwalifikacje lekarzy nie są w pełni wykorzystywane wskutek zupełnie rozpaczliwego stanu diagnostyki. Chodzi o przestarzały, niskiej jakości sprzęt i wyposażenie, jakim dysponują szpitale i przychodnie. Gdy tymczasem, jak poinformował delegatów Józef Reśko, konkretnie w domu wczasowym „Budowlani" w Krynicy marnuje się prawie niewykorzystywany przenośny rentgen, wartości 2,5 mln franków belgijskich. Podobnie przedstawia się wykorzystanie gabinetów dentystycznych w sanatoriach i w domach wczasowych.

Dramatycznie zabrzmiał głos Mariana Homy z Zakopanego, który przedstawił rozpaczliwą sytuację analityki. Powiedział: *W tej dziedzinie cofnęliśmy się o 20 lat. Nie mamy podstawowych odczynników do przeprowadzania analiz. Pracujemy na zasadzie powiązań, znajomości, ale jak długo można w ten sposób. ...I jeszcze jedno: technik-analityk otrzymuje za 16 godzin dyżuru 100 złotych. Te dane pozostawiam bez komentarza.*

Nie sposób wyliczyć wszystkich problemów, z którymi boryka się służba zdrowia. Brakuje rękawic do operacji, nici, strzykawek, odczynników do analiz. Mamy w województwie tylko jednego radiologa, a z sześciu stacji sanitarno-epidemiologicznych tylko w jednej kierownikiem jest lekarz. Brak przychodni specjalistycznych (szczególnie onkologicznej i alergologicznej), brakuje chociażby oddziału dla psychicznie chorych.

Dyskutanci nie tylko narzekali. Sformułowano kilka konstruktywnych wniosków m. in.: należy podporządkować wszystkie uzdrowiska na terenie województwa jednemu gestorowi, którym może być lekarz wojewódzki, zacieśnić współpracę między lecznictwem uzdrowiskowym a powszechnym, rozwijać spółdzielczość lekarską, przekazać służbie zdrowia moce przerobowe, zwolnione z przemysłu wskutek ograniczeń inwestycyjnych.

3 lipca — godzina 10

Delegaci zgłaszają udział w pracach zespołów problemowych Zjazdu.

Powołano także zespół redakcyjny do opracowania materiałów zawierających stanowisko delegatów wobec podstawowych problemów partyjnych i społeczno-gospodarczych.

Antoni Rączka przedstawił rezultaty prac zespołu zajmującego się rolnictwem. Stwierdził między innymi: — *Uważamy, że istnieje konieczność zajęcia się rolnictwem górskim i traktowania go w sposób szczególny. Koszty wytwarzania w górach są bowiem o 30 procent wyższe niż na terenach nizinnych. Rozwiązania wymaga też regulacja stosunków wodnych; jeżeli melioracja będzie przebiegać w takim tempie jak obecnie (600 ha rocznie, a melioracji wymaga 54 tys. ha), daleko nie zajdziemy. Należy utrzymać produkcję sprzętu konnego, mającego przecież podstawowe znaczenie przy pracach polowych w górach. W swoim opracowaniu wspominamy także o lasach i ich pozaprodukcyjnym charakterze w naszym województwie oraz poruszamy problematykę hodowli, zwłaszcza bydła i owiec.*

Sprawy oświaty i wychowania referował Wiktor Czartoryski. Omówił negatywne i pozytywne cechy młodego pokolenia. Mówił także o spadku autorytetu nauczyciela, kłopotach mieszkaniowych pracowników oświaty, przestarzałych pomocach naukowych. W imieniu zespołu domagał się reaktywowania 5-letniego liceum pedagogicznego, poprawy opieki lekarskiej w szkołach, zwiększenia nakładów na lektury i podręczniki szkolne.

Delegaci zadecydowali, że na Zjeździe złoża wniosek o ponowne opracowanie reformy oświaty oraz oddzielnego programu naprawy oświaty wiejskiej.

Przy trzecim temacie: „Lecznictwo uzdrowiskowe i turystyka" delegaci — na wniosek Józefa Brożka — opowiedzieli się za koniecznością stworzenia przez państwo funduszu preferencyjnego dla województw uzdrowiskowo-turystycznych, a także za wprowadzeniem na terenie Nowosądeczyzny specjalnego opodatkowania turystycznego np. poprzez podniesienie cen usług.

Kolejnym mówcą był Józef Nowak: — *W obrębie problematyki przemysłowej opowiadamy się za bezwzględną koniecznością przeprowadzenia reformy gospodarczej, w kierunku wydzielenia pewnych gałęzi, które należy zaopatrywać w surowce i energię. Pozostałe trzeba będzie po prostu zamknąć. Należy poza tym stworzyć system preferujący produkcję części zamiennych oraz zwiększyć odpowiedzialność producenta za wyrób.*

Delegaci bardzo krytycznie ocenili raport o stanie gospodarki. Józef Brożek nazwał go wręcz: „opracowaniem statystycznym z przypisami".

DANUTA BINEK

9 LIPCA — GODZINA 10

Ostatnim spotkaniem, na którym towarzyszyłam delegatom, było plenum KW PZPR. Poświęcono je ocenie dyskusji przedzjazdowej oraz stanowisku nowosądeckiej organizacji partyjnej w sprawie projektu dokumentów zjazdowych.

Referat egzekutywy — przedstawiony przez I sekretarza KW, Józefa Brożka — zawierał obszerne omówienie głównych wątków przedzjazdowej dyskusji. Dominowała w niej problematyka zabezpieczenia partii i kraju przed kolejnymi zakrętami i kryzysami, wypracowania programu wyjścia z kryzysu i stabilizacji ekonomicznej. Prawie wszystkie organizacje partyjne stały na stanowisku, że program reformy gospodarczej powinien być zaakceptowany przez Zjazd. Wiele wniosków dotyczyło uporządkowania działalności inwestycyjnej. Sugerowano wręcz, aby decyzje o najważniejszych dla kraju inwestycjach podejmował Sejm. Domagano się także opracowania długofalowego programu urealnienia cen detalicznych, zaopatrzeniowych i skupu. Zbyt mało — zdaniem egzekutywy — mówiono o własnych, lokalnych możliwościach poprawy sytuacji ekonomicznej, o zwiększeniu produkcji zaopatrzeniowej, o poprawie dyscypliny pracy o oszczędniejszej gospodarce materiałowo-surowcowej.

Równie liczną grupę stanowiły wnioski dotyczące zmian w statucie PZPR w kierunku umacniania jej zwartości, rozwoju demokracji wewnątrzpartyjnej i leninowskich norm życia partyjnego.

Wskazywano na konieczność zwiększenia jawności życia partyjnego poprzez rozszerzenie informacji wewnątrzpartyjnej oraz stworzenie mechanizmów ciągłej kontroli władz partyjnych przez szeregowych członków partii. Powszechnie dyskutowany był problem kadencyjności w pełnieniu funkcji partyjnych z wyboru (postulowano z reguły okres 1 do 2 kadencji). Ten problem — zdaniem egzekutywy — wymaga jeszcze przemyśleń. Przyjęcie bowiem tej zasady jest równoznaczne ze stworzeniem pewnych mechanicznych barier, a o okresie sprawowania danej funkcji powinna przede wszystkim decydować wartość człowieka i jego umiejętności. Powszechnie domagano się podniesienia rangi i roli Komisji Kontroli Partyjnych wszystkich szczebli poprzez ich uniezależnienie od instancji partyjnych. Żądano również statutowego określenia roli i miejsca statowego aparatu partyjnego. Ponadto poddano powszechnej krytyce system szkoleń partyjnych.

Prezentowałam już niektóre tezy, stanowiska naszych delegatów, a oto pozostałe:

W odniesieniu do statutu PZPR delegaci opowiadają się za sprecyzowaniem wysokich wymogów wobec kandydatów PZPR, wprowadzeniem zasady 3-letniego stażu partyjnego dla udzielających rekomendacji, postulują także wprowadzenie — na każdym szczeblu — okresowego votum zaufania dla egzekutywy (sekretariatu) wyrażanego przez plenum.

W zakresie podstawowych funkcji nowosądeczyzny: lecznictwa uzdrowiskowego, wypoczynku i turystyki najpilniejsze do załatwienia: prawna regulacja sprawy ochrony lasów wokół uzdrowisk i miejscowości wypoczynkowych, odejście od rabunkowej gospodarki leśnej, wstrzymanie rozbudowy popularnych miejscowości, rozwiązanie problemu gospodarki wodno-ściekowej, prawne uregulowanie partycypacji finansowo-materiałowej właścicieli obiektów sanatoryjnych i wypoczynkowych na rzecz rozwoju infrastruktury komunalnej.

Zakończę słowami przewodniczącego zespołu delegatów, Józefa Brożka: — *stanowisko, jakie chcemy zaprezentować nie jest sztywne, lecz otwarte na propozycje programowe i wnioski delegacji z innych województw, bowiem najważniejszym zadaniem Zjazdu jest skonsolidowanie partii i wypracowanie programu odpowiadającego jej interesom i interesom całego kraju.*

D.B.

Elżbieta Glinka

MICHALUS z ulicy MICHALUSA

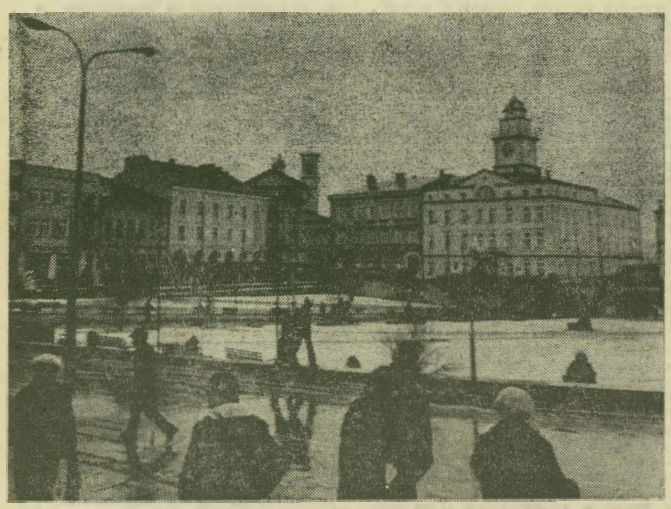

Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

Władysław Michalus, jako dyrektor przedsiębiorstwa, nieraz staje wobec dylematu: jak wymagać od robotnika dobrej pracy, skoro ten robotnik je suchy chleb i popija kefirem? Cóż, że dyrektor zażartuje: „Chłopie, to się popija na kaca!" — skoro żartem chleba nie omaścisz? Cóż z tego, że można sobie mówić: ja robiłem zawsze, co do mnie należy, gdy w głębi duszy jak zadra tkwi myśl: wszyscy jesteśmy winni temu, co się wydarzyło, bo nie dość głośno protestowaliśmy, bo nie umieliśmy obronić słusznych racji.

Michalus wie: partia musi wyciągnąć wnioski z dramatycznych doświadczeń, zdemokratyzować życie, skonsolidować się. Musi znaleźć takie formy oddziaływania, które będą inspirować ludzi na wszystkich szczeblach — również na szczeblach władzy. Partia — to znaczy każdy z nas, ludzi z czerwonymi legitymacjami.

„Mam wspaniałe dzieci — mówi Władysław Michalus. — *Oboje są, naturalnie, członkami partii*". A najbardziej dumny jest z tego, że zarówno córka, jak i syn mocno podkreślają, że to zaangażowanie wynieśli z domu rodzinnego. Z tej rodziny, co mieszka przy ulicy noszącej imię ich dziada, Józefa, znanego działacza Polskiej Partii Socjalistycznej.

Pięknie i mądrze wychował swe dzieci — córkę i dwóch synów — Józef Michalus. Twardą przechodziły szkołę życia, ledwie od ziemi odrosły, uczyły się hardo trzymać głowy, prosto patrzeć ludziom w oczy. Wiadomo: w Gorlicach o Glinika mówiono „Czerwony" — bo było tam różnych takich Michalusów niemało; zdecydowanych, uparłych w walce o robotnicze prawa, o chleb o godność. Toteż mały Władek uczył się ojczystej mowy niemal równocześnie z poznawaniem partyjnego abecadła. Do Józefa, przewodniczącego miejskiej komórki Polskiej Partii Socjalistycznej, a zarazem przewodniczącego komisji związków zawodowych schodzili się towarzysze, by nieraz do późnych godzin wieczornych rozprawiać o tym, co ich najbardziej bolało.

Władek nie miał jeszcze piętnastu lat, gdy wraz z bratem i siostrą zajmowali się kolportażem „Tygodnia Robotnika" — pisma robotniczych mas pepeesowskich. Władek znakomicie na sobie doświadczył wpływu owej propagandy: już w piątej klasie zbuntował się przeciw chodzeniu na lekcje religii i zamiast na mszę — poszedł na robotniczą demonstrację.

Nie wiedzieć, kiedy zaczął też działać w Organizacji Młodzieżowej Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych — prowadził nawet OMTUR-owską bibliotekę. Z tego okresu wyniósł zafascynowanie książką, oczytanie w literaturze najbardziej postępowej; poznał wówczas Szołochowa i Gorkiego. Wystawiali nawet sztuki teatralne, i to jakie: „Czerwony Wiedeń walczy" albo tę o aneksji Czechosłowacji, tytuł ulotnił się z pamięci. A gdy pod koniec lat trzydziestych zastrajkowali gorliccy robotnicy — młodziutki Władek Michalus pomagał zdobywać dla nich chleb, nosił gazetki. Dobrą więc przeszedł polityczną edukację już wtedy, gdy kończył szkołę podstawową — a potem szkołę przemysłową, taką ówczesną zawodówkę.

Nad Polską zbierały się brunatne chmury. Władek czytał nieraz w pepeesowskich czasopismach o narastaniu fali faszyzmu za naszą zachodnią granicą, wiedział — jak wszyscy Polacy — o aneksji Austrii i Czechosłowacji, ale był jeszcze zbyt młody, by przeczuć całą grozę dni i lat, które nadchodziły nieubłaganie...

Wojenna przygoda może nawet kusi, gdy ma się osiemnaście lat, ale jakże trudno być żołnierzem armii ponoszącej klęskę. Jakże trudno cofać się i cofać zakurzonymi drogami owego upalnego Września, kiedy złowroga hitlerowska potęga spadła na Ojczyznę.

Przeżył Władek poniewierkę owej wojny, jej gorycz, bezsilność — doszedł aż do Zaleszczyk. Stamtąd postanowił wrócić do domu. Długo by wspominać ten powrót... Był po drodze i obóz radziecki, i ucieczka przez San, gdzie zginął serdeczny kolega, i wreszcie — na same święta Bożego Narodzenia — powrót do domu. Jakże zapomnieć ową chwilę, gdy matka, codziennie wychodząca na drogę wypatrywać ostatniego ze swych mężczyzn, co jeszcze z frontu nie wrócił, zwróciła się do niego z pytaniem, czy gdzie nie spotkał ... Władka Michalusa! Jak straszne musiały być przeżycia tych kilku miesięcy, jeśli zdołały przeobrazić tego osiemnastolatka tak bardzo, że rodzona matka go nie poznała?

Wrócił Władek do fabryki, do Glinika. Pracował, owszem, ale i przemyśliwał, jak utrudniać życie okupantowi. Na razie niewiele wymyślił — ot, robili z kolegą głowice do urządzeń wiertniczych tak, aby jak najkrócej służyły hitlerowcom.

Był luty 1941 roku, gdy na halę weszli pewien folksdojcz z Borysławia, dobrze znany gorliczanom, i dwóch gestapowców.

Zabrali Władka Michalusa tak jak stał — ledwie kurtkę zdążył narzucić na ramiona. Więzienny klucznik zapytał, gdzie nowego więźnia zamknąć. „Tam, skąd się prędko nie wychodzi" — odparł gestapowiec, a chłopcu ścierpła skóra.

Dziwne było w tej celi towarzystwo: paserzy, złodzieje i profesor — Żyd oraz ksiądz. Ten ksiądz mocno się Władkowi utrwalił w pamięci. Było to tak: gestapowcy lubili zabawiać się wpadaniem o północy do celi i wzywaniem „na ochotnika" więźniów na rozstrzelanie. Nikt, oczywiście nie chciał być takim „ochotnikiem". No, a kiedy przyszło do ich celi — ksiądz wstał, majestatyczny jakiś, wielki, i ... nie zabrali nikogo.

Kiedy pierwszy raz brali Władka na przesłuchanie, każdy ze współwięźniów doradzał mu, jak złagodzić ból ewentualnego bicia. Nawet poduszkę proponowano. Nie wziął jednak nic ze sobą, bo pomyślał, że tylko rozwścieczy Niemców. Po drodze przeżył momenty upokorzenia, gdy prowadzący go gestapowiec demonstracyjnie zajadał bułkę z szynką, a chłopaka skręcało z głodu, i gdy bociem zmuszał do brania papierosa, za co znów walił w twarz. Wreszcie — przesłuchanie. Przytłaczająca groza, obok do nieprzytomności bito jakiegoś Żyda, a Michalusowi przedstawiono oskarżenie: „Przeciw Wielkiej Rzeszy spiskujecie!" „Zarobki wam się nie podobają!". *„Łatwo wam mówić. A ile tokarz zarabia w Niemczech?"* — odparł Władek. Czy zaimponował hitlerowcom odwagą, czy może gestapowca zastanowiła logika pytania — dość że tym razem Michalusowi się upiekło. Ale nie był to koniec przesłuchiwań; po trzecim wysłali go do obozu, do Krakowa. Przebywał tam kilka miesięcy, aż pewnego razu, gdy prowadzili go na badania do szpitala, umknął, wsiadł do pociągu i ... ostatnie, co zapamiętał, to była stacja w Tarnowie. A potem — zatroskana twarz matki. Do dziś nie wie, kim byli dwaj ludzie, którzy go — nieprzytomnego, bez papierów, w gorączce — przywieźli do Glinika. Wierzy, że jeszcze ich w życiu spotka, podziękuje za wspaniały dar życia.

Teraz już musiał się ukrywać. Jego aresztowanie było przecież głośne w Gorlicach: pierwsze aresztowanie w Gliniku. Dopiero rok później gestapo znów wkroczyło do fabryki: tym razem zabrano całą grupę robotników, a wśród nich i ojca — Józefa Michalusa. Wtedy matka przyszła w góry, do Ropy, by prosić Władka o powrót do domu; załatwiła w Arbeitsamcie podmianę papierów, gestapowcy się zmienili, nie znają chłopaka, a jak ona sama z młodszymi dzieciakami sobie poradzi?... Władek wrócił chętnie, bo miał już dość ukrywania się.

Po paru miesiącach, gdzieś pod koniec roku 1942, trafił Władek do konspiracji. Do AK. Chciał się bić, działać przeciw okupantowi. Więc zajmował się kolportażem, zdobywaniem broni — marzył, by wreszcie pójść „do lasu". Dopiero jednak akcja „Burza" i mobilizacja Armii Krajowej przed Powstaniem Warszawskim spełniła te oczekiwania. Michalus znalazł się w partyzanckiej kompanii 1 Pułku Strzelców Podhalańskich. Brał udział w akcjach, między innymi pod Grodkiem, gdy wskutek złej informacji trafili w zasadzkę. Znów miał szczęście: cało wyniósł z opresji głowę.

Nie czuł się jednak w oddziale dobrze. Kiedy dowódca przygadał mu od „czerwonych", Władek powiedział, że ma tego dość. Dlaczego go nie rozwalili za niesubordynację? Dlaczego pozwolili wrócić do Gorlic, zobowiązując jedynie do zachowania tajemnicy — nie wie sam do dziś...

Był już listopad, front tuż-tuż.

No i przyszła ta nowa, wolna i robotnicza, Polska — Ojczyzna, jaką sobie wyśnił, wymarzył Józef Michalus, o jakiej marzyć nauczył dzieci. Władek z pasją włączył się w uruchamianie Rafinerii, dzielił czas między straż pożarną i milicję, no i partię — PPS oczywiście, po staremu, śladem ojca.

W sierpniu 1945 roku skierowano Michalusa do technikum — utworzono takie specjalne szkoły przygotowujące dla zniszczonego kraju kadry partyjne i gospodarcze. Władek Michalus, wówczas już członek Zarządu Zakładowego i Miejskiego OMTUR oraz Komitetu Fabrycznego PPS, pojechał aż do Bytomia.

Dziwna to była nauka — dniem ślęczenie nad książkami, a nocą — wyjazdy całą szkolną kompanią ORMO przeciw bandom Wehrwolfu. Władek był zastępcą komendanta tej kompanii — z „klucza", jako pepeesowiec, a komendant należał do PPR. Tam właśnie sprawdzali się w najtrudniejszych momentach, we współdziałaniu i w walce o to, co w kilka lat później zaowocować miało zjednoczeniem zarówno ruchu młodzieżowego, jak i partii.

Zbliżało się Referendum Ludowe, ważne dla przyszłości kraju wydarzenie. Wysłano ich w Olsztyńskie; Michalus przeżył wiele dramatycznych chwil, bo przecież walka w kraju jeszcze trwała — prawdziwa, krwawa walka o władzę. Pamięta dzień, gdy wracał z Młynar konno (konie to osobny rozdział i pasja Władkowego życia!) i tylko koniowi zawdzięcza, że wyszedł cało z zasadzki.

Tam, w Olsztyńskiem, po raz pierwszy zetknął się z problemem autochtonów. Jakże wiele było nienawiści, niezrozumienia, błędów, jakże niełatwo było rozeznać, kto przyjaciel, a kto wróg; kto Polak, kto Niemiec, a kto Mazur... Dziś młodzi nie chcą wierzyć, że nawet o narodowość trzeba walczyć.

Albo pierwsze wybory; rok 1947. Był wtedy Michalus pełnomocnikiem aż na trzy powiaty: Kozle, Prudnik, Opole. Wiedzieli, że za wszelką cenę muszą wygrać z Mikołajczykiem. I wygrali!

Wrócił do Gorlic z dyplomem technika, ofiarowano mu stanowisko głównego mechanika. Ale ciągnął Władka Glinik — i tradycja rodzinna przeważyła.

W partii przeprowadzano powszechną weryfikację przed zjednoczeniem z PPR. Oczyszczano szeregi. Władek, już „jednolitofrontowy" w swych przekonaniach, niemało naspierał się ze starymi towarzyszami ojca, którzy tę drugą partię, PPR, oceniali przez pryzmat postaw jej członków, a jak na złość był w Rafinerii kadrowiec z peperowską legitymacją, ale w gruncie rzeczy endek i szuja. Dopiero jego odejście rozjaśniło sytuację.

Był Władek Michalus we Wrocławiu, przy narodzinach Związku Młodzieży Polskiej, i uczestniczył w Kongresie Zjednoczeniowym Partii. Od dawna dla tego zjednoczenia pracował, a przecież przeżył moment ogromnego rozgoryczenia, gdy z trybuny padły słowa Bieruta o Gomułce — „pogrobowcu grupy prawicowo-nacjonalistycznej". Miał bowiem Michalus do Gomułki stosunek szczególny, sentyment nawet, bo wiedział, że z tym komunistą nieraz stykał się jego ojciec. Nie wiedział jeszcze, jak wiele goryczy przyjdzie mu zaznać, że dopiero przed nim — i przed całą Polską, całą partią — są lata wypaczeń stalinizmu, jest gorycz i nadzieja Października, dramat Grudnia, Sierpień...

Został sekretarzem Komitetu Zakładowego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, ale wkrótce przyszła dyrektywa: Władysław Michalus obejmuje stanowisko przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej. *„Jak to?* — pytał. — *Niedawno chcieliście, bym zrezygnował z funkcji sekretarza ze względu na „niechlubną przeszłość akowską", a teraz powierzacie mi tak odpowiedzialne stanowisko?"* „Macie nasze pełne zaufanie"! — odpowiedziano.

No i został przewodniczącym PRN. Twardo kierował radą, po robociarsku. Rozumiał się z ludźmi, bo dla wspólnych spraw pracowali. „Wszyscy jesteśmy Polakami i w jednej Ojczyźnie żyjemy" — mawiał zawsze. Tak właśnie wyglądał „konstruktywny kompromis" Władysława Michalusa dzięki któremu dobrze się w powiecie działo. Pracownicy powiatowej administracji wiedzieli, że władza musi autentycznie służyć ludziom. Każdy wiedział, że jeśli coś zawali, nie ma tu nic więcej do roboty.

Władysław Michalus bardzo boleje nad szkodami, jakie jego zdaniem przyniosła reforma administracyjna kraju. Rozbiła ona dawne struktury — i rozbiła wiele ludzkich inicjatyw. Ot, choćby powiat gorlicki: zniszczony wojną, wyludniony (problemy narodowościowe i religijne to tu cały wielki rozdział), bez szkół, żłobków, ośrodków zdrowia — rozwijał się bujnie społeczną inicjatywą, i masz: podzielono go, rozerwano, przecięto najżywotniejsze jego arterie. Ile czasu trzeba, by odrobić straty ? Ile trudu? *„Reforma była zamachem na demokrację rad* — powie po latach Michalus. — *Zawiedziono zaufanie ludzi, odebrano im inicjatywę. Kiedyś każda decyzja była konsultowana, podejmowana zespołowo. Myślę* — doda po chwili — *że obecnie przyjmowanie przez konferencje partyjne zasady wybierania pierwszych sekretarzy przez całą salę, a nie przez komitet ze swego grona — niesie pewne niebezpieczeństwo. Taki sekretarz może czuć się kimś „lepszym", wynoszonym ponad „masę" członków plenum, a nawet egzekutywy. Boję się czy w trosce o gwarancje demokracji nie tworzymy mechanizmów działających przeciw tej demokracji".*

Ale te refleksje przyjdą później. Na razie jest rok 1955; Władysław Michalus zostaje słuchaczem centralnej szkoły partyjnej. Jest to czas XX Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego — tego Zjazdu, który dokonał przewrotu w całym obozie państw socjalistycznych. Słuchacze szkoły jeżdżą do wszystkich zakątków Polski, by wyjaśniać, tłumaczyć, odradzać w ludziach wiarę w partię, w socjalizm. Podkarpacie, gdzie przebywa Michalus, domaga się powrotu Gomułki; inne regiony kraju również. Słuchacze szkoły przekazują te uwagi osobiście Edwardowi Ochabowi. Bezskutecznie.

Czerwiec 1956 roku. Tragiczny czerwiec w Poznaniu. Władysław Michalus zastanawia się: jak to możliwe, by robotnicza władza stawała przeciw robotnikom? By robotnicy wyrzucali ze swych zebrań sekretarzy partyjnych, a sekretarze nie chcieli rozmawiać z robotnikami? By oszukiwano ludzi? By wojsko strzelało do współrodaków?

Tam, w Poznaniu zrozumiał, jak daleko musiała odejść władza od tych, którym powinna służyć, by zrodził się straszny robotniczy gniew. Jak okropne musiały być wypaczenia, by robotnicza klasa, sól tej ziemi, musiała chwytać się takich środków jak strajk, jak demonstracja. Chodząc do zakładów pracy Poznania dowiadywał się, jak bardzo ludzie zostali zawiedzeni. Był świadkiem skandalicznego potraktowania delegacji robotniczej, która chciała widzieć się z premierem, i przeżył zwykły, ludzki strach, gdy na Moście Teatralnym raniono jego towarzysza, z którym szedł na akcję propagandową. Tego nie sposób zapomnieć! Może i dlatego tak bardzo zawsze się starał, by na żadnym z piastowanych stanowisk nie ulec pokusie władzy, by przenigdy nie zapomnieć, kto mu tę władzę daje i komu powinien służyć. Bo jeśli się pamięta, że jest to służba, to żadne stanowisko, żadna władza nie wypaczy człowieka, nie zdemoralizuje.

Po reformie administracyjnej pracował przez pewien czas w Urzędzie Wojewódzkim jako szef wydziału kontroli. Nie umiał jednak dopasować się do nowych zadań, do układów. Gdy protestował przeciw nieprawidłowościom w rozdziale mieszkań — odebrano mu ten dział. Prosił o konkretną, samodzielną pracę — i tak został dyrektorem Rejonowego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Oczywiście — w rodzinnych Gorlicach!

Życie nie oszczędziło mu jednak goryczy kolejnego zakrętu w naszych narodowych losach. Przyszła wielka fala sierpniowych i posierpniowych strajków i posierpniowej odnowy, z jej nurtem oczyszczającym — i z jej nurtem zamętu. Osobiście nie dotknęły Władysława Michalusa „rozliczenia": ten człowiek nie zszedł nigdy z drogi prawości i prawdy. Nie po raz pierwszy więc udzielono mu votum społecznego i partyjnego zaufania, wybierając ponownie do władz partyjnych miasta i województwa, a także powierzając mu mandat delegata na IX Nadzwyczajny Zjazd Partii.

„Sierpień był niezbędny — mówi — *by wyprostowały się nasze drogi. Ale kolejne strajki są już niepotrzebne. Nie mogę ich jednak zupełnie potępiać, bo wiem, że władza nie wyciągnęła do końca wniosków z sierpniowych wydarzeń. Nie wolno nam przecież działać dopiero wtedy, gdy mamy nóż na gardle, nie wolno działać pozornie ani liczyć, że coś się „samo" rozstrzygnie. Dlaczego parcia pozwala odebrać sobie inicjatywę rozliczeń, dlaczego administracja dopuszcza do tego, by na niej wymuszano decyzje? Wiele jest tych „dlaczego" — być wiele. To budzi obawy o dalszy los partii, Ojczyzny."*

KLUB „POMOCNE RĘCE"

„Członkiem naszej drużyny zuchowej jest Stasiu Kmiecik, który urodził się bez rąk. Nie wyobrażacie sobie jaki on jest sprytny: wiele czynności wykonuje sam. Spożywa posiłki, a nawet je przygotowuje, myje się, pierze. A jak cudownie maluje. Nikt nie potrafi być lepszym kronikarzem naszej drużyny. ...Ale są też i trudne momenty, dla ludzi zdrowych i sprawnych wydawałoby się proste i oczywiste, na przykład: przewrócenie kartki w zeszycie, zawiązanie sznurówki czy otwarcie drzwi. Wtedy Stasiu staje przed wielkim dylematem; służymy mu więc zawsze i wszędzie. Ta pomoc go jednak nie przytłacza, nie narzucamy mu jej. Nam również nie przeszkadza, bo żyjemy jak w rodzinie".

Zuchy Leśne Ludki ze szkoły podstawowej w Klęczanach

W 1976 roku po dyskusji instruktorów ZHP powstał przy Komendzie Chorągwi w Nowym Sączu Klub „Pomocne ręce". Dziś należy do niego dziewięćdziesiąt siedem drużyn i szczepów, w przypadku Chełmca, Gródka nad Dunajcem czy Uścia Gorlickiego są to niemal całe szkoły.

Organizatorzy zwrócili się do zuchów i harcerzy z apelem, w którym między innymi czytamy: „...rozglądnijcie się, czy wokół Was nie ma osób, które czekają na Wasze serca i pomocne ręce (myślimy tu zarówno o osobach starszych, samotnych, jak i Waszych kolegach z młodszych klas), otoczcie ich stałą opieką, a na pewno za okazaną pomoc uzyskacie ich wdzięczność, sympatię i uśmiech".

— *Chodziło nam o to* — mówi druhna Urszula Kochanik, opiekunka klubu — *aby zmobilizować młodzież do działań opiekuńczych i dać jej satysfakcję, że uczestniczy w czymś ważnym i wielkim.*

Drużyny i szczepy, które zgłaszają się do Klubu „Pomocne ręce" sporządzają wykazy osób potrzebujących pomocy. Czasami jej rozmiar przekracza dziecięce możliwości i konieczna staje się interwencja lekarza czy innych organizacji społecznych. Na harcerski sygnał do akcji wkraczają wtedy instruktorzy Nowosądeckiej Chorągwi: podhorucznik Emilia Magnuszewska z Wydziału Prewencji KW MO, Barbara Pawlik — pedagog z Kuratorium Oświaty i Wychowania, Jacek Niziołek, który szefuje ruchowi „Nieprzetartego Szlaku".

Oto sędziwy rolnik z Biczyc Górnych. Pracował od dziecięcych lat. Nie odpoczywał i w niedzielę — przecie trzodę karmi się w piątki i świątki. Jest schorowany, stary, poddany całkowicie opiece ludzi. Zresztą patrzy na nich nieufnie. Co innego na harcerzy, którzy podwórko posprzątają, staną w ogonku za masłem, przed świętami zaś podłogę wyszorują i choinkę przyniosą.

Oto inna osoba. Nigdy nie doświadczyła związania się z kimś na „trwałe", nie zaznała poczucia bezpieczeństwa, które daje możliwość oparcia się na kimś w trudnej chwili. Dopóki starczało sił i zdrowia nie dostrzegała swojego osamotnienia. Z wiekiem pojawiły się trudności w przystosowaniu do kolejnego etapu życia. Harcerze okazując jej pomoc łagodzą więc poczucie zmniejszonej sprawności, subiektywnie bardzo dotkliwie nieraz odczuwanej.

Klub „Pomocnej ręki" prowadzi kronikę, w której odnotowuje się wszystkie meldunki, zgłoszenia i relacje — komu udzielono pomocy, co zrobiono i kim się zaopiekowano.

„Opiekujemy się VIII grupą życia ze szkoły specjalnej w Nowym Sączu. Zrobiliśmy im ogromną frajdę prezentami na Dzień Dziecka, które własnoręcznie wykonaliśmy na «majsterce». Żebyście wiedzieli, jak oni nosili te podarki na sercach. A jak się nimi przechwalali. Co tydzień posyłamy im słodycze, drobne maskotki. Zawsze pamiętamy o imieninach i świętach, składamy każdemu indywidualne życzenia. W najbliższej przyszłości planujemy jednodniowy biwak z gotowaniem posiłku, różnymi zabawami terenowymi, konkursami.

Akcja „Pomocne ręce" zmieniła nas bardzo. Staliśmy się innymi ludźmi, życie jest jakieś ciekawsze, bardziej jasne, a i człowiek jest szlachetniejszy, lepszy z dnia na dzień. Nie może być bowiem wspanialszej pracy jak służenie drugiemu człowiekowi".

„Pani Franciszka Homa ma słaby wzrok, dlatego lubi jak czytamy jej gazety i książki. Co pewien czas trzepiemy jej dywany, wynosimy popiół, przygotowujemy drewno na podpałkę" — pisze drużyna harcerska ze Skrzydlnej.

Harcerki z Gródka często przychodzą do 86-letniej Wiktorii Mróz, która od lat mieszka samotnie: „U pani Wiktorii zawsze są czyste firanki, świeża pościel i ręczniki. Na Wielkanoc wysprzątałyśmy mieszkanie i przyniosłyśmy rozmaite smakołyki. Pani Wiktoria płakała z radości..."

Szczep „Czata" przy gryboWskim liceum ściśle współpracuje z Polskim Komitetem Pomocy Społecznej. Członkowie szczepu dobrowolnie przyjęli na siebie obowiązek codziennego dostarczania obiadów chorym i zniedołężniałym, dokonywania niezbędnych sprawunków. Pieniądze za zebrany złom i makulaturę przeznaczają na Społeczny Fundusz Pomocy.

Harcerze z Pasierbca piszą po prostu: „przyprowadzamy nasze młodsze siostry i braci do przedszkola, na zajęciach technicznych wykonujemy dla nich kolorowe zabawki. Zimą dokarmiamy ptaki, opiekujemy się szkolnymi różami, pomagamy młodszym w nauce. Dwieście trzydzieści złotych przeznaczyliśmy na potrzeby Towarzystwa Miłośników Zwierząt".

Znamienne, że akcja „Pomocne ręce" znalazła największy oddźwięk na wsi. „Muchomory" z Męciny Wielkiej, „Timurowcy" z Biesnej, „Partyzantki" z Jasiennej, „Słoneczka" z Jamnicy, drużyny z Homrzysk, Przyszowej i Siar oraz z wielu innych nowosądeckich miejscowości skutecznie rozjaśniają trudne życie dorosłym i rówieśnikom. Nie chodzi tu wcale o czyny wielkie i heroiczne. Czasami wystarczy wyplewić ogródek, uporządkować obejście dla krów, naprawić płot, aby zyskać czyjąś dozgonną wdzięczność, a — i to chyba ważniejsze — po prostu komuś ułatwić życie. Można też skonstruować proste pomoce dydaktyczne dla młodszych klas, pozbierać śmieci na szkolnym podwórku czy odprowadzać młodszych do przedszkola. Sporym osiągnięciem jest koleżeńskie wyciąganie rówieśników z kłopotów szkolnych, pobudzanie ich ambicji, rozwinięcie talentu, tym samym zaś wzmocnienie poczucia własnej wartości dzieci niepełnosprawnych bądź zakompleksionych.

Tak właśnie wyobrażam sobie samorzutne akcje harcerskie, starannie i dokładnie przygotowane przez najlepszych zuchów i harcerzy. Zawsze bowiem budziły niechęć napuszone, fasadowe akcje-giganty, takie jak na przykład patronat ZHP nad Centrum Zdrowia Dziecka czy również groteskowy „patronat" nad budową (!) Huty Katowice, co czyniło z harcerstwa bardziej instytucję usług wszelakich, niż ruch społeczny działający według własnych zasad. Nie trzeba dodawać, że skutki wychowawcze takich działań były znikome.

Myślę, że działalność Klubu „Pomocne ręce" odgrywa olbrzymią rolę w kształtowaniu właściwych postaw już od najmłodszych lat.

P.S. Czy naczelnicy miast i gmin nie byliby skłonni upoważnić harcerzy do dokonywania na zasadzie pierwszeństwa zakupów dla inwalidów i ludzi niepełnosprawnych? Wystarczy sporządzić wykaz takich osób i wypisać specjalne upoważnienia.

JERZY LEŚNIAK

Fot. ST. ŚMIERCIAK

Adam Ogorzałek

SPOTKANIA Z CZYTELNIKAMI

W ostatniej dekadzie czerwca uczestniczyłem w kilku spotkaniach z czytelnikami „Dunajca". Sprawiły mi one satysfakcję, gdyż ludzie mówią dziś bez ogródek, co myślą, i czas przeznaczony na takie dyskusje nie jest zmarnowany. Zanotowałem skrupulatnie wszystkie krytyczne uwagi i obiecałem rozważyć je z uwagą, chociaż wiem, że nie wszystkie uwzględnimy, bo trudno pogodzić rozbieżne oczekiwania czytelnicze.

O dwóch spotkaniach pragnę opowiedzieć bardziej szczegółowo, ponieważ przyniosły one sugestie wybiegające poza ocenę samego „Dunajca".

ROZMOWA PIERWSZA

Komitet Zakładowy PZPR oraz „Solidarność" przy Urzędzie Wojewódzkim zgodnie upomniały się o bardziej obiektywne publikacje na temat administracji. Towarzysz **Ryszard Aleksander** argumentuje tak: — *Samodzielność administracji była dotąd nikła. Bano się biegał z tekstem przemówienia do instruktorów KW. Wciśnięto nam rozdzielnictwo deficytowych towarów, choć nie jesteśmy instytucją handlową i nie my powinniśmy dzielić, na przykład, cement w gminie. Jeśli dodać rozmaite przepisy blokujące naszą działalność, jeśli uwzględnić niskie stosunkowo płace (w gminach najniższe — 2 800 zł, a w Urzędzie Wojewódzkim średnio 6 000 zł) — to mamy prawo oczekiwać więcej zrozumienia. Jeśli pisze się krytycznie, to niech autor formułuje zarzuty konkretnie adresowane.*

Bodajże **Andrzej Wójtowicz** wypomniał mi, że pisząc w „Kulturze" o pierwszych miesiącach odnowy stwierdziłem, iż są w administracji „ołowiane głowy", chociaż — jak powiedział — *„w Urzędzie Wojewódzkim działa silna organizacja partyjna, od dawna kierująca krytyczne uwagi do wyższych instancji"*.

No, cóż! „Ołowiane głowy" — jak sądzę — istnieją wszędzie. Ale zgadzam się, że trzeba je atakować imiennie.

Zgadzam się również z głosami innych dyskutantów — **Pietrzaka, Czerwińskiego, Weydlicha** — gdy postulują wnikliwe ocenianie administracji. Potrzebuje ona — jak każda grupa zawodowa — wsparcia i zrozumienia. Nie wszyscy urzędnicy poddawali się w przeszłości naciskom pozaprawnym, nie wszyscy są biurokratami. Uogólnienia bywają z reguły niesprawiedliwe. Ale trudno zgodzić się z dyr. **Zenonem Trzupkiem**, gdy negatywnie ocenia publikacje, w których ujawniliśmy sprzeciw mieszkańców Muszyny wobec planów zagospodarowania przestrzennego swej miejscowości. Nie sądzę również, iż błędem było zacytowanie wypowiedzi tow. Jana Koszkula na Konferencji Miejskiej PZPR, gdzie zarzucił architektowi wojewódzkiemu opieszałość w kwestii centrum kultury oraz obiektów sportowo-rekreacyjnych w Nowym Sączu.

Tow. Trzupek jest zdania, że po naszej publikacji o Muszynie *zahamowaniu uległo budownictwo indywidualne w województwie*. Nie bardzo w to wierzę, a ponadto — można przecież polemizować z błędnymi publikacjami! Bunt na ulicy Ogrodowej w Muszynie był faktem i faktem jest wystąpienie Jana Koszkula. Dlaczego mielibyśmy je przemilczeć?

Podzielam natomiast oczekiwania — np. towarzyszki **Oleksińskiej** — by dopuszczać na łamy „Dunajca" poglądy kontrowersyjne. W przeciwnym przypadku tygodnik będzie senny. Liczę iż czytelnicy wspomogą nas w tym dziele, nadsyłając wypowiedzi ostre, odważne, których nie zamierzamy chować do szuflady.

Z uwagą wysłuchałem głosu **Haliny Komarowej**, która przedstawiła styczniowe wydarzenia na sądeckim Ratuszu z punktu widzenia „Solidarności", a także wypowiedzi ob. **Rafałowicza** i **Zarazki** oraz sekretarza KZ, **Sipka** — którzy kwestionowali umiarkowaną linię polityczną „Dunajca". Nie sądzę, bym ich przekonał i rozwiał wszystkie wątpliwości. Prawdopodobnie przez jakiś czas pozostaniemy przy swoich poglądach. Ale nie jest przecież powiedziane, że rozbieżności w myśleniu są szkodliwe. Czas rozsądzi, czy postawa tonująca obecne napięcia była błędem i dowodem zachowawczych poglądów, czy na odwrót — przejawem rozsądku.

DRUGA ROZMOWA

odbyła się za sprawą organizacji partyjnych Sądu i Prokuratury. Towarzysz **Tadeusz Pawłowski** powiedział w zagajeniu, że intencją spotkania jest wzajemne poznanie się, przedyskutowanie roli prasy w społeczeństwie i miejsca problematyki prawnej w publicystyce. Szybko jednak przeszliśmy do konkretów osiągając w wielu kwestiach wspólny punkt widzenia.

Oto sprawy, które „Dunajec" z wdzięcznością przyjmuje do realizacji: opublikowanie sporządzonego w Nowym Targu raportu o nielegalnym garbarstwie i kuśnierstwie, wraz z wnioskami, jak rozwiązać sporne kwestie. Dalej: stała rubryka poświęcona kulturze prawnej społeczeństwa, współredagowana przez sędziów i prokuratorów (wniosek tow. **Witowskiego**). Prokurator **Melon** rozszerzył tę propozycję: nie ma to być kącik porad prawnych, lecz publiczne rozważania o potrzebie zmiany prawa i jego uproszczenia zwłaszcza w tych sprawach, które w naszym regionie są zmorą i najczęściej trafiają na wokandę.

Jaki powinien być „Dunajec"? Sędzia Sądu Wojewódzkiego, **Błażowski**, proponuje profil społeczno-kulturalno-polityczny. Nie magazyn różności, i nie organ KW. Raczej — oderwanie się od układów personalnych, reprezentowanie odczuć społecznych. Również prokurator **Eilmes**, sędzia **Englot**, sędzina **Garlejowa** jednoznacznie opowiedzieli się za pismem odzwierciedlającym przemiany bez wygładzania i upiększania rzeczywistości. Powinien to być — zdaniem dyskutantów — tygodnik partyjny, a nie tygodnik instancji. Sędzina **Zarębowa** sformułowała ostry zarzut, że od jesieni ubiegłego roku naderwaliśmy więź z czytelnikami wybierając niezrozumiałą drogę.

Interesujące refleksje o prasie polskiej w momentach zwrotnych przedstawił prezes Sądu Wojewódzkiego, **Soroko**: — *Dziennikarze najszybciej się odnowili, z piewców sukcesu stali się piewcami klęski. Niektórzy chcą szybko nadrobić zaległości, inni — wcześniej odważni — stępili pióro. Najważniejsze dziś to pokazywanie prób odradzania się partii oraz budowanie więzi, integrowanie regionu* (kilku mówców sygnalizowało tendencje odśrodkowe w województwie).

„Dunajec" nie powinien konkurować z prasą centralną — nie ma zresztą takich możliwości — lecz podejmować własną, lokalną tematykę. Trzeba uwzględnić fakt, że Wojewódzka Konferencja Partyjna nie przezwyciężyła animozji między poszczególnymi rejonami naszego województwa i przeciwdziałanie tym tendencjom — występującym właściwie w całym kraju — jest również zadaniem prasy.

* *

Oba spotkania przyniosły oczywiście o wiele więcej uwag, sygnałów i propozycji. Nie omawiam ich, ponieważ umówiliśmy się zarówno w Urzędzie Wojewódzkim, jak w Sądzie i Prokuraturze, że traktujemy owe gorące i nieuładzone zetknięcia się twarzą w twarz jako początek współpracy. Pierwszy dotrzymał obietnicy prokurator Tadeusz Pawłowski, nadsyłając już po kilku dniach pierwszą wypowiedź. Zamieszczamy ją poniżej z nadzieją, że również pozostali uczestnicy spotkań zechcą się niebawem podzielić swymi przemyśleniami z czytelnikami „Dunajca".

Czego można spodziewać się po Prokuratorze?

Niecierpliwy czytelnik odpowie: wiadomo, niczego dobrego, najwyżej kłopotów. Ale notatkę tę adresuję do czytelnika cierpliwego, ciekawego życia — a więc chcącego rozszerzyć również swą świadomość prawną.

Odpowiadając zatem na powyższe pytanie należy stwierdzić, iż po Prokuraturze PRL — jak i po każdym zresztą prokuratorze — spodziewać się należy ochrony prawnej (nie mylić z osobistą) i pomocy. Aby jednak w pełni i należycie zrozumieć co to znaczy — należy ową **instytucję państwową**, jaką jest Prokuratura, poznać.

Częstokroć pojęcie Prokuratury kojarzy nam się z tymczasowym aresztowaniem, wnoszeniem aktu oskarżenia czy prowadzeniem sprawy karnej. A więc — niezbyt przyjemnie. Rzutuje to na stosunek do Prokuratury oskarżonych, członków ich rodzin i znajomych. Często niezadowoleni są też pokrzywdzeni — zwłaszcza ci bardziej niecierpliwi, nie umiejący pogodzić się z obowiązującą prokuratora obiektywizacją jego działań i ocen. Uważają nieraz, że prokurator zbyt mało potępia sprawcę ich krzywdy, że za mało się angażuje po ich stronie. A tymczasem prokurator ma angażować się w **obronę praworządności, w zwalczanie przestępczości** — nie zapominając oczywiście o życzliwości wobec stron i obowiązku udzielania im pomocy w ramach swych możliwości.

Podstawę działania Prokuratury stanowi w pierwszym rzędzie Ustawa Zasadnicza, to jest Konstytucja. Jej art. 64 pkt 2 głosi: **„Prokurator Generalny Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej strzeże praworządności ludowej, czuwa nad ochroną własności społecznej, zabezpiecza poszanowanie praw obywateli"**; pkt. 2: **„Prokurator Generalny czuwa w szczególności nad ściganiem przestępstw godzących w ustrój, bezpieczeństwo i niezawisłość PRL"**; art. 65 pkt. 1 Konstytucji stanowi, iż **„Prokuratora Generalnego PRL powołuje i odwołuje Rada Państwa"**, a art. 66, iż **„organy Prokuratury podlegają Prokuratorowi Generalnemu PRL i w sprawowaniu swych funkcji są niezależne od organów terenowych"**.

Bardziej szczegółowo organizację, zadania, działalność i sprawy wewnętrzne Prokuratury określa ustawa o Prokuraturze PRL z dnia 14 kwietnia 1967 r. (tekst jednolity Dz. U. z 10.04.1980 r. Nr 10 poz. 30). O Prokuraturze mówią też przepisy kodeksu postępowania karnego, cywilnego, administracyjnego i inne akty prawne — łącznie jest ich czternaście — nakreślające obowiązki i uprawnienia prokuratora.

Prokurator **obowiązany jest stosować w swojej pracy wszystkie ustawy krajowe i inne źródła prawa** — na czele z kodeksem karnym, cywilnym, administracyjnym, pracy, rodzinnym — a liczba tych aktów prawnych idzie w tysiące.

Jak wynika zatem z Konstytucji — zarówno Prokurator Generalny PRL — jak i każdy hierarchicznie podporządkowany mu prokurator jest **konstytucyjnym strażnikiem praworządności.** Jest także **niezależnym organem ścigania** — nadzorującym w zakresie postępowania karnego organa ścigania zależne, do których należy Milicja Obywatelska, WOP w zakresie spraw dotyczących naruszania granicy i ustawy karno-skarbowej w tym zakresie, Służba Leśna, Urząd Finansowy, Sanepid i wszystkie inne, których działalność dochodzeniowo-śledcza jest sprawdzana, kierowana, inspirowana przez prokuratora. Prokurator także podejmuje decyzję, w jaki sposób wykorzystać czynności postępowania przygotowawczego (dochodzenia — w sprawach pospolitych i śledztwa — w sprawach poważnych). On więc **decyduje, niezależnie od jakichkolwiek zewnętrznych wpływów**, czy postępowanie przygotowawcze zakończyć aktem oskarżenia, umorzeniem, odstąpieniem od ścigania w razie stwierdzenia przestępstwa ściganego z oskarżenia prywatnego, czy przekazaniem sprawy wedle właściwości innemu organowi.

Na czym polega niezależność prokuratora i czym różni się ona od niezawisłości sędziego? Prokurator nie podlega innym władzom, jest organem pozarządowym podległym Radzie Państwa (podlegającej z kolei Sejmowi). Prokuratura jest instytucją zwartą, hierarchicznie podporządkowaną poprzez kolejnych przełożonych Prokuratorowi Generalnemu. I tylko w ramach tego podporządkowania mogą być wydawane polecenia konkretnemu prokuratorowi, a jego niezależne decyzje stają się tym samym decyzjami Prokuratury jako całości i Prokuratura ponosi za nie odpowiedzialność, broni ich, poprawia, jeśli trzeba.

Prokurator, oprócz prowadzenia spraw karnych, bierze również udział w postępowaniu cywilnym (ogólnie określa to art. 7 kodeksu postępowania cywilnego), gdy wedle jego oceny wymaga tego ochrona praworządności, interes społeczny, ochrona praw obywateli i własności społecznej. Jako **strażnik praworządności** kontroluje prokurator jej przestrzeganie w pracy urzędów administracji i innych instytucji państwowych oraz społecznych.

Praworządność — to przestrzeganie prawa przez wszystkie instytucje i organizacje: państwowe i społeczne, a przede wszystkim przez organa władzy. Sprawdza to właśnie prokurator, przy czym nie może on zastąpić innego organu.

Wiem, że w tak krótkiej publikacji mogłem w sposób jedynie bardzo ogólnikowy zorientować Czytelnika w podstawowych zadaniach i obowiązkach prokuratora i Prokuratury. Mam jednak nadzieję, że ta notatka pomoże w lepszym rozumieniu w przyszłości informacji o pracy tej instytucji.

Można mieć także nadzieję, że w podobny sposób przedstawią się i inne instytucje funkcjonujące na niwie praworządności, jak sąd, adwokatura, milicja, administracja. Byłoby to z korzyścią dla podniesienia kultury prawnej społeczeństwa.

TADEUSZ PAWŁOWSKI

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

REDAGUJE KRZYSZTOF DOBOSZ

Kartkowe dylematy

Pierwszy kilkumiesięczny okres reglamentacji, niektórych artykułów żywnościowych, a zwłaszcza mięsa i jego przetworów mamy już za sobą. Opinie ludzi w naszym mieście o kartkach są zróżnicowane: od pochlebnych twierdzących, iż system ten zapewnia bardziej sprawiedliwy podział i każdy ma zagwarantowane określone minimum, po skrajnie negatywne. Przeważa jednak rozczarowanie. Zwraca się powszechnie uwagę na dwa zasadnicze mankamenty reglamentacji mięsa, która przecież nie rozwiązała podstawowego problemu, jakim jest brak mięsa, a nadto nie ułatwiła wcale zakupów, gdyż w sądeckich sklepach kolejki znacznie się wydłużyły.

Coraz częściej zdarzają się sytuacje, że brak mięsa uniemożliwia realizację kartek i dlatego też wydłuża się okres przydziałów poza nominalny miesiąc.

Od sierpnia mają nastąpić istotne zmiany. Przewiduje się zniesienie dotychczasowego kartkowego podziału na mięso, wędliny i drób, a wprowadzenie trzech grup asortymentowych:

1) mięso bez kości, wędzonki, wędliny suche,

2) mięso z kością, pozostałe wędliny, boczek, drób,

3) mięsa i przetwory mielone, podroby.

Przetworów 3 grupy nie przewiduje się dla kobiet ciężarnych i karmiących, dzieci oraz chorych.

Cały system rozdziału ma być też znacznie uproszczony, a z uwagi na liczne kontrowersje między poszczególnymi grupami uprawnionych (odnośnie wysokości przydziałów) liczba rodzajów kartek zostanie zmniejszona. Jednakże zwiększone normy otrzymają osoby ciężko pracujące oraz przewlekle chorzy. Natomiast przyznawanie kartek osobom uchylającym się od pracy wywołuje nadal spory i gorące dyskusje tym bardziej, że władze znajdują się pod silną presją różnych grup pracowniczych i ludności, domagających się zwiększenia przydziałów.

Brak mięsa uniemożliwia jednak nie tylko spełnienie tych postulatów, ale grozi wręcz obniżeniem norm w najtrudniejszym okresie 3 kwartału.

W Nowym Sączu największym problemem są wydłużające się stale kolejki w sklepach mięsnych. Wprawdzie sprzedaż mięsa i wędliny wprowadzono w kilku sklepach spożywczych, ale ich liczba nadal jest zbyt mała. Trzeba zbyt wielu godzin upokarzającego czekania, aby coś dostać. W tej sytuacji konieczne staje się dalsze zwiększenie liczby sklepów spożywczych, sprzedających mięso, a zwłaszcza wędliny. Nie muszą być one przy tym wyposażone w urządzenia chłodnicze, gdyż i tak towar sprzedany zostaje w ciągu 2—3 godzin.

Nawet przy zwiększonej ilości mięsa i wędlin chodzi przede wszystkim o rozładowanie tasiemcowych kolejek coraz bardziej zniecierpliwionych i rozgoryczonych „kartkowiczów", o likwidację przyczyn potencjalnego konfliktu.

ZYGMUNT BŁASZAK
Nowy Sącz

„W sprawie listu A. Zaczyńskiego"

Wielka rzecz się stała i obraza, że nazwałem p. Helenę Czech lokatorką, a nie właścicielką mieszkania, w którym siostra Bronisława Czecha chce urządzić Izbę Pamięci. Z wyjaśnień Redakcji dowiaduję się, że naraziłem na szwank dobre imię „Dunajca". Aż przykro czytać, jak Szanowna Redakcja usprawiedliwia się i przeprasza „obrażoną" (za co?), używając w tym celu uszczypliwej przygany pod moim adresem. „Pisanie listów do wszystkich pism w Polsce jest pasją p. Aleksandra Zaczyńskiego i nie ma chyba redakcji, która w końcu by mu nie uległa". Dzięki im za to. Wtedy, gdy panowie redaktorzy mieli wodę w ustach i pisali „po linii, w ramach i w świetle" — ja dobijałem się o sprawy tzw. niepopularne, o których nie wolno było pisać, o sprawy wołające SOS, występowałem w obronie przyrody, człowieka i tego wszystkiego, o czym nie powinno się milczeć. Dziś odwaga staniała, dziś każdy mądry i odważny, bo nie ma kogo się bać.

Już nieraz atakowano mnie za moją „pasję pisania", nie gniewam się, bo dla piszącego najgorsze jest milczenie.

Sprawa Izby Pamięci Bronisława Czecha wydała mi się na tyle ważka, że napisałem o niej sygnalizując zagadnienie, a nie badając szczegółów, nikogo nie chciałem obrazić, mogą mieć do mnie urazę chyba tylko władze i instytucje które atakowałem (co było potrzebne), a najmniej p. Helena Czech, którą spotkała wielka satysfakcja ze strony Redakcji Waszego Tygodnika.

Łączę wyrazy poważania.

ALEKSANDER ZACZYŃSKI
Zakopane

Nie kwestionowaliśmy ważkości tematu, podniesionego przez autora listu. Żadnej jednak, najsłuszniejszej nawet sprawie nie służy tendencyjność w sposobie jej przedstawiania, a właśnie tendencyjność listu p. A. Zaczyńskiego — w świetle przekonujących wyjaśnień p. H. Czech — jest zupełnie oczywista. Jeśli autor uważa, iż nie mieliśmy żadnego powodu, by panią Helenę Czech przeprosić za to, co przecież ukazało się na naszych łamach — to dalsza wymiana poglądów jest bezcelowa. Sądzimy nadto, że treść i ton zamieszczonego wyżej listu, który drukujemy bez skrótów i poprawek, nie wymagają z naszej strony żadnego dodatkowego komentarza.

K. DOBOSZ

Ku wspólnemu dobru

Z wielką uwagą przeczytałem w „Dunajcu" z dnia 14 czerwca artykuły „Jaki powinien być „Dunajec" oraz „Krynicka książka wniosków konstruktywnych". Ten ostatni wzbudził zrozumiałe zainteresowanie miejscowych Czytelników bowiem dotyczył on problemów Krynicy. Być może, zmobilizuje on odpowiednie instytucje uzdrowiska nie tylko do publicznego ustosunkowania się do poruszonych spraw, lecz również do ich załatwienia.

Przyznać trzeba, że jak do tej pory takie ustosunkowywanie się do prasowych notatek jest rzadkością.

Niektórym Czytelnikom wydaje się, że prowadzę polemikę z Redakcją. Nic podobnego! Uważam, że wymiana zdań między współpracownikami redakcji z organem prasowym przynosi zawsze pożytek obu stronom. Chciałbym, aby również inni Czytelnicy poruszali na łamach „Dunajca" problematykę krynicką. Co do mnie — swoje społeczne posłannictwo wobec pisma spełniać będę nadal, życząc mu równocześnie by zyskał jeszcze więcej współpracowników, a co najważniejsze — by rosło jego znaczenie w naszym regionie.

STANISŁAW KOZAK
Krynica

Fetor na osiedlu

Piszę do Was z upoważnienia lokatorów bloku nr 4 przy ul. Rewolucji Październikowej w Krynicy. Od lat mamy problemy z kanalizacją: rury systematycznie się zatykają lub pękają, a fekalia zalewają piwnice. Warstwa nieczystości sięga nieraz kilku centymetrów. Fetor w budynku dławi, ale dużo większym problemem jest niebezpieczeństwo wybuchu epidemii. W odpowiedzi na nasze interwencje słyszymy, że winę za istniejący stan ponoszą budowlani, którzy przed laty źle założyli instalację kanalizacyjną. Czy znaczy, to że nasze kłopoty nigdy się nie skończą?

Druga sprawa: śmietniki. Wybudowano niegdyś specjalne pomieszczenia na kubły ze śmieciami, ale tych ostatnich się nie wykorzystuje. Przywieziono za to wielkie kontenery, które mają to do siebie, że dziecko, wynosząc śmieci, żadną miarą nie może dosięgnąć ich klapy. Tym sposobem śmieci walają się obok pojemników, które na dodatek — ustawione pod oknami — cuchną i szpecą osiedle.

Proszę, napiszcie o tych sprawach. Nasze osiedle słynie z rozmaitych felerów i już nie raz trafiało z tego tytułu na łamy prasy. Może ktoś się na serio zajmie wreszcie naszymi kłopotami?

S.Ż.
(nazwisko i adres znane redakcji)

Serdeczne podziękowania!

Koło „Przydworcowe" Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej w Nowym Sączu informuje, że 29 czerwca dyrektor Obwodu Lecznictwa Kolejowego, dr Ryszard Kosiba złożył — w czynie społecznym — 16 wizyt domowych u obłożnie chorych, podopiecznych naszego Koła.

Za pośrednictwem „Dunajca" pragnęlibyśmy złożyć serdeczne podziękowanie dyrektorowi Kosibie, który od kilku lat ofiarnie włącza się do akcji na rzecz ludzi potrzebujących pomocy biorąc w nich osobiście udział, bądź też delegując lekarzy i pielęgniarki.

Prezes Koła PKPS
WŁADYSŁAW BASTA

A może trochę o sporcie?

Do rozważań nad tym, jaki powinien być „Dunajec", chciałbym dorzucić swoją uwagę: brakuje mi w nim kącika sportowego. Prasy w kioskach brakuje — skąd więc my, kibice mamy dowiadywać się o wynikach naszych piłkarzy, siatkarek, kolarzy, kajakarzy itp. Myślę, że utworzenie takiej rubryki na łamach Waszego tygodnika podniosłoby jego poczytność.

Z.A.
Nowy Sącz

P.S. Czytałem swego czasu w „Trybunie Czytelników" ubolewania nad młodzieżą, która z nudów pije, włóczy się, przesiaduje w „Adzie" — jednym słowem demoralizuje się. Odpowiedzcie, proszę, co mamy robić, skoro w mieście nie ma ani jednego ciekawszego klubu, świetlicy czy dyskoteki?

BŁĘDNE KOŁO

Wydajność pracy gwałtownie spada. Jeszcze gwałtowniej pogarsza się dyscyplina pracy; nastąpił wzrost absencji chorobowej, nieobecności usprawiedliwionej i nie usprawiedliwionej. Ta ostatnia prawie się podwoiła w tym roku.

Spadek dyscypliny pracy w zakładach, wyrażający się nie tylko absencją, ale także nadmierną fluktuacją, zwiększonym zużyciem materiałów i pogorszeniem jakości zaznaczył się wyraźniej w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Był on wynikiem m. in. osłabienia więzi władzy ze społeczeństwem, a także coraz bardziej odczuwalnych na rynku braków, powodujących osłabienie zadowolenia z wyników osiąganej pracy. Po sierpniu wszystkie te czynniki zadziałały ze zdwojoną mocą. Utraciła autorytet nie tylko centralna władza, ale także średni i niższy personel kierowniczy, nie potrafiący już narzucać swej decyzji podwładnym. Zresztą i wśród tego personelu mamy do czynienia ze znacznym spadkiem dyscypliny pracy, wyrażającym się nieumiejętnością, bądź niechęcią do podejmowania kroków, mających na celu uzyskanie nawet doraźnej poprawy na odcinkach mu powierzonych.

Brak podstawowych do życia artykułów wyzwolił instynkt samozachowawczy. Aktywność ludzka nakierowana została przede wszystkim na zdobycie tych dóbr, a praca — jeśli kolidowała z tymi dążeniami — zeszła na dalszy plan, tym bardziej, że jeśli chodzi o środki uzyskiwane za tę pracę — nie ma na ogół problemów. Pieniądze zarabia się łatwiej niż się je wydaje.

Czy można potępiać matkę — czy dziwić się nawet jej postępowaniu — opuszczającą warsztat pracy na wieść, że do sąsiedniego sklepu przywieźli mleko, od którego zależy życie jej niemowlęcia? Jest to niewątpliwie przykład krańcowy i odpowiedź łatwa. Ale jak ocenić palacza, który dla zaspokojenia swego nałogu robi to samo, to znaczy odchodzi od maszyny? Otóż motywacje ludzkie nie są tak proste, aby można było potępić również takie postępowanie, chociaż nie jest ono uzasadnione dobrem nadrzędnym. Człowiek jest taki jaki jest, a nie jakim chcielibyśmy go widzieć. Zakłócenia na rynku papierosowym spowodowały wyraźny spadek produkcji w wielu zakładach, i to tych, które mają wszystkie potrzebne im środki. Jeśli w kiosku fabrycznym pojawiają się papierosy, wyłączone są maszyny i nikt nie śmie się temu przeciwstawić!

Brak kilku milionów dolarów na zakup filtrów i bibułki do papierosów kosztował nas zapewne znacznie, znacznie więcej. Trudności zaopatrzeniowe powodują spadek dyscypliny pracy. Z kolei ta właśnie dyscyplina potrzebna nam jest jak nigdy dotąd właśnie po to, aby złagodzić trudności zaopatrzeniowe. Prawdziwe błędne koło! Z której strony zacząć, aby wydostać się z niego nie zadreptując się — jak goniąca w kółko wiewiórka — na śmierć?

Należy — moim zdaniem — zapoczątkować przynajmniej poprawę zaopatrzenia lub stworzyć realną wizję osiągnięcia tego w krótkim czasie. Sprzyjające warunki dla rolnictwa mogą nam bardzo pomóc. Doraźne środki poprawy zawsze są możliwe, ale do tego niezbędna jest dyscyplina ze strony aparatu zarządzającego. W wielu zakładach zrobiono coś niecoś w tym kierunku, dostarczając np. papierosy bezpośrednio na stanowiska pracy. W tych zakładach nie ma na ogół większych napięć zakłócających rytm produkcji. Rozwój samorządności wyzwoli być może niezbędną inicjatywę, która pozwoli załogom — po zanalizowaniu sytuacji i możliwości — przejąć wiele spraw we własne ręce.

TOMASZ WALAT

GALERIA TWÓRCÓW LUDOWYCH

PIOTR ZELEK z Berestu

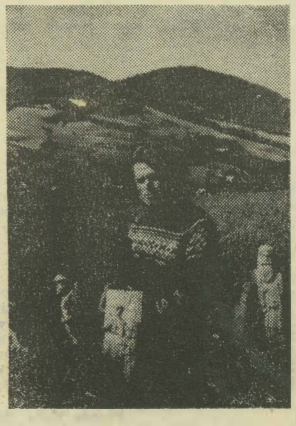

Urodził się w 1928 roku w Koszycach Wielkich koło Tarnowa. Jak wielu jego rówieśników, właściwie nie miał dzieciństwa: zaznał biedy, nie mógł się kształcić, bardzo wcześnie musiał podjąć pracę zarobkową. Potem przyszły tragiczne doświadczenia wojenne.

Po wojnie Zelek został murarzem — należał do pokolenia „ludzi z marmuru". Budował Nową Hutę, Nowe Tychy, odbudowywał Warszawę, pracował w wielkich zakładach przemysłowych. Lecz jak każdy chyba włóczęga, cały czas marzył o własnym domu, o spokojnym życiu we własnych czterech ścianach.

W połowie lat sześćdziesiątych znalazł się na Sądeczyźnie i postanowił zostać tu na zawsze. Najpierw mieszkał w wynajętym pokoiku w Krzyżówce koło Krynicy. Wtedy to podjął twórczość rzeźbiarską. Było to jeszcze przed wielką falą mody na ludowe figurki.

Zelek, nawiązując instynktownie do ludowej tradycji, rychło odnalazł swój niepowtarzalny styl; jego rzeźby są jednocześnie ludowe i współczesne, ale przede wszystkim są „zelkowe". Tradycyjne motywy ikonograficzne: święty Piotr z kluczem albo z siecią, Chrystus Frasobliwy, Mojżesz i inne nierzadko odbiegały znacznie od kanonów tradycyjnych. Zdarzało się również Zelkowi mylić atrybuty poszczególnych świętych. Nie wydawało mu się to ważne — zwłaszcza, że wielu krynickich kuracjuszy, którzy stanowili główną część jego klienteli, na tych sprawach po prostu się nie znało.

Jednocześnie Piotr Zelek zaczął systematycznie obsyłać konkursy sztuki ludowej, uczestniczyć w kiermaszach i wystawach. Stał się jednym z najbardziej popularnych współczesnych polskich rzeźbiarzy ludowych.

Przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, to chyba najlepszy okres jego twórczości.

W połowie lat siedemdziesiątych Zelek przeniósł się wreszcie do swego domu w Bereście nieopodal Krynicy. Marzenie jego życia spełniło się — został gazdą. Lecz wydaje się, że rzeźbienie stanowi główny nurt jego życia. Obecnie nie musi już zabiegać o popularność — raczej ogania się od natrętnych klientów.

Temperament twórczy nie pozwala mu na trzymanie się wyłącznie tematyki tradycyjnej, sakralnej. Wymyśla również nowe motywy — najczęściej z życia dawnej wsi, współczesne tematy publicystyczne, portrety wielkich Polaków itd.

ANTONI KROH
Fot. JERZY ŻAK

Zaprosili nas

„Wojewódzki Komitet FJN na spotkanie władz polityczno-administracyjnych województwa z przodującymi ludźmi regionu z okazji 37 rocznicy Manifestu Lipcowego.

● Gminny Ośrodek Kultury w Bukowinie Tatrzańskiej na XV „Sabałowe bajania" — konkurs gawędziarzy, śpiewaków i instrumentalistów ludowych.

● Wojewódzki Związek Spółdzielni Ogrodniczych i Pszczelarskich w Nowym Sączu na uroczystość wręczenia sztandaru za zajęcie 1 miejsca we współzawodnictwie krajowym w pionie spółdzielczości ogrodniczo-pszczelarskiej za rok 1980.

● Związek Polskich Artystów Fotografii w Warszawie, Biuro Wystaw Artystycznych w Nowym Sączu, Galeria w Zakopanem na otwarcie wystawy „Fotografia społeczna lat 1945—1980".

Antoni Kroh

Srebrne wesele

Międzyspółdzielniany zespół pieśni i tańca „LACHY" z Nowego Sącza obchodzi właśnie dwudziestopięciolecie swego istnienia. Jest to niewątpliwie jeden z najlepszych amatorskich zespołów folklorystycznych w Polsce. Tancerze, śpiewacy i muzykanci ćwiczą nieustannie — sala klubowa czynna jest przez okrągły tydzień. Mieli już setki występów w całej Polsce, byli w Anglii, Belgii, Francji, Hiszpanii, Portugalii, obu państwach niemieckich, we Włoszech, w Czechosłowacji, Gruzji, Bułgarii... Długo by wymieniać. Naturalnie, nie wszyscy: wyjazd zagraniczny jest nagrodą, w wyprawie uczestniczą najlepsi, najpracowitsi. A zresztą — skład zespołu wciąż się zmienia. Podobnie jak każde inne żywe stworzenie, „Lachy" wciąż się regenerują, wymieniają obumierające komórki. Jedni przychodzą, inni odchodzą, to normalne. Ale poczucie więzi, pamięć przetańczonych i prześpiewanych godzin pozostaje na całe życie.

Jedną z przyczyn powodzenia i wysokiego poziomu artystycznego „Lachów" jest praca z młodzieżą. Już pięciolatki przychodzą tu na rytmikę. Na początku roku szkolnego zapisuje się na nią około setki dzieci — do czerwca starcza silnej woli mniej więcej trzydziestorgu. Ci mają szanse zostać członkami „MAŁYCH LACHÓW" — znanego zespołu dziecięcego, gdzie młodzież otrzaskuje się z publicznością, uczy się sądeckich śpiewanek i nut. A potem niektórzy, co najbardziej systematyczni i pracowici przechodzą do zespołu dorosłego. Oni stanowią najwartościowszą kadrę, rdzeń zespołu.

Lecz wstąpić do „Lachów" można bez względu na wiek. Przychodzą tu nastolatki i czterdziestolatki. Znaczna część rezygnuje, nie wytrzymując ostrego tempa pracy. Nieliczni pozostają. Zadzierzgają się przyjaźnie, wybuchają kłótnie, kojarzą małżeństwa. Potem następne pokolenie trafia na lekcje rytmiki.

Jak codziennie, tak i dzisiaj wieczorem członkowie zespołu zebrali się w klubie. Ci, którzy mają właśnie próbę; i ci, którzy wpadli tylko z przyzwyczajenia, spotkać się ze znajomymi. Ciasno. Na ścianach oryginały rysunków Antoniego Wasilewskiego, nieżyjącego już krakowskiego grafika i dziennikarza, wielkiego miłośnika Sądeczczyzny i przyjaciela „Lachów". Pewną, maksymalnie uproszczoną kreską narysowane tańczące postacie. Otwieram magnetofon, nie notuję nazwisk moich rozmówców — byłoby to chyba zbędne. Ot, nie jubileuszowa, lecz zwyczajna rozmowa o codziennych sprawach, wesołych i smutnych. Refleksje, wspomnienia.

— To wielkie przeżycie, kiedy się po raz pierwszy leci samolotem. Pani Krysia wtedy do Anglii leciała z nami po raz pierwszy. Wszystko siedzi skulone, wystraszone, aż tu pani Krysia mówi: „Rany boskie święte, czemu tak trzęsie?" A ktoś na to: „bo siedzi pani na kole!" Wszyscy się roześmieli i zaraz nam było raźniej.

Wtedy w Anglii siedzieliśmy pół dnia pod namiotem, na festiwalu, jak jacy Indianie. A ludzie zwiedzali nas, wciąż tylko zdjęcia i zdjęcia, aż się człowiekowi przykrzyło. Nagle przyleciała jakaś pani, tamtejsza Polka, i woła: „dziewczynki, dziewczynki, chodźcie tu!" Przyniosła całą walizkę starych butów. „Weźcie, będziecie miały w czym chodzić." Dziewczęta popatrzyły, wzruszyły ramionami i poszły. Czy ona myślała, że my w Polsce ziemię jemy?

A znowu w Bordeaux, to scena była na morzu, na pontonach, a widownia na brzegu. Mieliśmy tańczyć, ale jakże tu tańczyć, jak wszystko się chybocze? Więc tylko zaśpiewaliśmy, coż było robić?

Za granicą z naszego zespołu nikt nie został, wszyscy zawsze wracają do kraju. U nas ludzie mają uświadomienie. Jedna nasza dziewczyna wyszła za mąż za Francuza, ale to zupełnie co in-

Zdjęcia: ARCHIWUM

Malarstwo ANNY GÜNTNER

„To był rzeczywiście poważny wypadek. Samochód przetoczył się przez dach. Ziemia stanęła dęba i zajęła miejsce nieba. Wiele jednak czasu minęło, zanim wzięłam się do malowania tego tematu, zanim powstała «Katastrofa». Nastąpiło to dopiero wówczas, gdy obraz był już przemyślany w szczegółach i na płótnie mógł być ostatecznie przetworzony. Jest to jednak jedyny mój obraz inspirowany bezpośrednio konkretnym wydarzeniem. Inne obrazy? Są one najczęściej wynikiem jakichś przypomnień, dalekich skojarzeń, trochę wypływają z moich marzeń, a głównie z potrzeby malowania. Nie, nie należy do nich dopisywać teorii filozoficznych czy artystycznych. One po prostu są. Niekiedy wyrzucam sobie, że tyle się wokół mnie dzieje, szczególnie teraz, a ja nie potrafię ustosunkować się do tego poprzez swoje obrazy. Boleję nad tym, a jednak dalej robię swoje".

To krótkie wyznanie zdobyłem dla czytelników „Dunajca" od Anny Güntner w dniu wernisażu jej prac, który odbył się 3 lipca w salach nowosądeckiego Biura Wystaw Artystycznych przy ulicy Jagiellońskiej 34. A trzeba wiedzieć, iż wernisaż ów był wydarzeniem niezwykle satysfakcjonującym tych, którzy mieli okazję w nim uczestniczyć. Jego niezwykłość polegała na udziale w nim autorki prezentowanych prac oraz na fakcie wręczenia jej wielkiego bukietu róż przez... Bolesława Basińskiego, nowomianowanego prezydenta Nowego Sącza, który — mimo iż był to dopiero drugi dzień jego urzędowania — znalazł czas na spełnienie miłego gospodarskiego obowiązku. Odnotujmy zatem na marginesie: punkt dla Prezydenta!

Rośnie lipcowy skwar. Słońce żółci pola. Żywa i soczysta wiosną zieleń jakby nieco już zmatowiała. Mijają pierwsze spóźnione sianokosy. Dziewczyny nabierają jędrności. Spokój i lato. A w salach nowosądeckiego BWA mamy lata tego pomniejszone i odrealnione odbicia zamknięte w kilkudziesięciu obrazach olejnych Pani Anny Güntner — artystki, która od dwudziestu lat omijając rafy i mielizny mód i zmieniających się tendencji artystycznych tworzy swój własny idealny świat. Wyznacznikami tego świata są między innymi: spokój ponadczasowego krajobrazu bliskiego krajobrazom Toskanii i dwoje niezmiennych bohaterów: „Ona" i „On" (On — dość często nieobecny), a także sytuacje, w jakich się oboje i towarzyszące im przedmioty znajdują. Wspólnym mianownikiem dla wszystkich obrazów jest „Ona" przedstawiona jako naga dziewczyna, pełna spokoju i oczekiwania, przewysmuklona i wyidealizowana, podobna kobiecym postaciom Botticellego — mistrza włoskiego renesansu.

U Anny Güntner zadziwiająca jest konsekwencja, z jaką kontynuuje swoje malarstwo, swój „sposób" malowania. Jest ono niemal niezmienne od pierwszych obrazów z roku 1959 („Przerwana podróż", „Maszyna na uwięzi"), a przy tym w pewnym sensie bliskie twórczości Kazimierza Mikulskiego, mimo że studiowała przecież pod kierunkiem Zbigniewa Pronaszki w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Właśnie już w pierwszym okresie twórczości, gdy dokoła niemal wszyscy podejmowali „bardzo ważne" tematy, malowali z rozmachem grubo kładąc farbę, częściej szpachlą niż pędzlem, Anna Güntner poruszała się spokojnie po swoim wyimaginowanym świecie, „rozmawiała" z wyidealizowanymi bohaterami, farbę kładła cieniuteńką warstewką, tak, aby tło przeświecało, a czyniła to wszystko z wielką maestrią i dokładnością właściwą tylko uduchowionym młodym kobietom.

W okresie kiedy natłok ważnych wydarzeń jest fizycznie odczuwalny, kiedy trudy codziennego bytowania przerastają wszystko co wyobrażalne, dobrze jest zagłębić się chociaż na krótką chwilę w oazie ciszy, nieporuszonego niczym spokoju i... drzemiącego pod powłoką farb optymizmu, by odpocząć, by nabrać nowej wiary, nadziei...

ANDRZEJ B. KRUPIŃSKI

Jerzy Masior

PEJZAŻ

Drzewo wyrosło pochylone
jakby w pokorze szło do nieba,
popołudniowym spływa cieniem
gdzie inne trawy, inne drzewa.

W konturach cienia drży czekanie,
senny kalendarz doły toczy,
w znojnej pielgrzymce czas jałowy
ostatniej chwili nie odroczy.

Zamkniesz horyzont swą niewiarą
i słów znaczenia klucz odbierzesz.
Już się nie liczą przemilczenia
bo ty nie wierzysz w co ja wierzę.

Był gdzieś przystanek, przyzwolenie,
w lustrach szalonych świat w wirażu —
ułudnym pędzlem kładę zieleń
na płótno znaczeń tamtych zdarzeń.

„LACHÓW"

nego. Poznała go na festiwalu, po roku znajomości pobrali się i wyjechała do Francji. Fajna była dziewczyna, zwidziała mu się, wiedział Francuz, co dobre.

— Coraz trudniej o stroje. Od czasu, gdy pani Borowa nie szyje...

— Och, jaka to była świetna hafciarka...

— Spółdzielnia Wyspiańskiego w Krakowie za jedną haftowaną koszulę bierze pięć tysięcy, a jeszcze koszula nie taka jak trzeba, haft zbyt uproszczony.

— A jak wasze zakłady pracy tolerują artystów?

— O tym lepiej nie mówmy.

— Ależ dlaczego, mówmy!

— Różnie z tym bywa, często jest po prostu ludzka nieżyczliwość. Pewna pani wicedyrektor powiedziała, że dziewczyny nie zwolni, bo ma bilans, inne pracownice kołki jej na głowie strugają, że ta jeździ, a one nie jeżdżą. Zwolnienia z pracy nie dostanie, ale jak chce wziąć urlop wypoczynkowy, to może sobie wziąć. Jak weźmie urlop wypoczynkowy, to już bilans nie taki ważny.

— Czasem są takie przypadki, że dyrektor podpisuje urlopowanie, natomiast mistrz albo kierownik działu zębami zgrzyta i co człowiekowi naurąga, to mu nikt nie zabierze. Albo człowiek słyszy w pracy takie rzeczy: co, podwyżkę chciałbyś? Niech ci w balecie dadzą!

— W Gruzji najbardziej mi się podobała droga wojenna, wykuta w skale, wysoko przez góry jak nasze Tatry, mówię panu, coś wspaniałego! I mieliśmy też spotkanie z dziadkiem, co miał ponad sto czterdzieści lat. Jego żona miała osiemdziesiąt, nie to już była jego czwarta żona. Siedział i kiwał głową, i powiedział nam, że haraszo, haraszo, ale po rosyjsku wiele nie umiał, tylko po gruzińsku.

— A w Portugalii widzieliśmy corridę, ale tam są bezkrwawe.

— A co robicie, kiedy w zespole znajdzie się jakieś straszliwe beztalencie? Człowiek, który nie ma słuchu i nie umie się ruszać, ale bardzo lubi występować?

— Owszem, jest kilku takich. Ale nie ma pan pojęcia, jak oni się przykładają do pracy...

— I obniżają poziom..

— Nie usuwamy ich z zespołu, ale nie włączamy do układów tanecznych. To jest bardzo delikatna sprawa, nie można ludzi ranić. Zresztą najczęściej gdy człowiek jest niezdolny, sam to widzi i rezygnuje.

— Co Zimińska zrobiła w „Mazowszu" z tymi sądeckimi tańcami, to o pomstę do nieba woła.

— Kłopoty mamy te, co wszyscy: nie można akordeonu naprawić, nie można za to czy za tamto zapłacić, tego albo tamtego kupić. Lokal mamy bardzo ciasny, normalnej działalności klubowej nie da się rozwijać.

— My tu naprawdę jesteśmy jakby jedną rodziną.

ZAMACHOWCY

26 kwietnia 1478 roku bracia Giuliano i Lorenzo de Medici — władcy Florencji — przybyli na mszę w katedrze swego miasta. W najbardziej uroczystym momencie mszalnego rytuału, gdy ksiądz podniósł Hostię, grupa mężczyzn z mieczami i sztyletami rzuciła się na dwóch członków rodziny Medici. Giuliano został trafiony w serce. Lorenzo, ranny, zdołał przeskoczyć przez balustradę i ukryć się za ołtarzem w zakrystii. Zamachu dokonano za zgodą papieża Sykstusa IV. Dwaj zamachowcy byli księżmi. Jeszcze tego samego dnia spiskowcy razem z arcybiskupem Salviati, który popierał ich akcję — zostali zabici przez wzburzonych florentyńczyków.

10 września 1898 r., w porze obiadowej, austriacka cesarzowa Elżbieta w towarzystwie damy dworu szła piechotą z hotelu Beau-Rivage nad brzeg jeziora Genewskiego. Nagle człowiek, który siedział na ławce nad brzegiem, skoczył w kierunku cesarzowej i zadał jej nożem cios w serce. Zmarła tego samego dnia.

25-letni zamachowiec Luigi Luccheni, robotnik i były żołnierz, oświadczył przed sądem, że jest anarchistą. Zapytany o motyw swego czynu odpowiedział: „Zmusiła mnie do tego nędza". Zapytany czy specjalnie chciał zabić wysoko postawioną osobistość, oświadczył: *„Tak. Aby pomścić moje życie"*.

6 listopada 1939 r., stolarz meblowy ze Szwabii, Georg Elser, zdeponował bombę zegarową w monachijskiej piwiarni. Bomba miała zabić Adolfa Hitlera, którego oczekiwano 8 listopada w tej piwiarni. Bomba wybuchła jednak zbyt wcześnie. Hitler uszedł z życiem, zginęło natomiast 6 jego sympatyków i kelnerka. Elsera złapano. W 1945 roku otrzymał w obozie w Dachau strzał w tył głowy.

Elser, Luccheni i mordercy z florenckiej katedry. Diametralnie różniące się od siebie przykłady z długiej krwawej historii, która rozpoczęła się jeszcze, zanim Brutus zabił Juliusza Cezara i która nie skończyła się zamachem Mehmeta Ali Agcy na papieża Jana Pawła II.

Ofiarami byli źli i dobrzy, odważni i tchórze, groźni i łagodni. Byli nimi tak niegodni ludzie, jak dyktator Nikaragui — Somoza, którego w roku 1980 zamordowano już na emigracji i tak szlachetni jak wielki zwolennik rezygnacji z przemocy, polityk hinduski — Mahatma Gandhi, zastrzelony w 1948 roku przez reakcyjnego dziennikarza.

Zabijani byli władcy, tacy jak rosyjski car — Aleksander II, chociaż w swym państwie zniósł pańszczyznę i zyskał przydomek „car wyzwoliciel". 1 maja 1881 r. zabił go Ignacy Hryniewiecki, polski szlachcic, student politechniki, który z odległości kilku metrów rzucił bombę do carskiej karety. Sam także poniósł przy tym śmierć.

Strzelano również do człowieka, który nie miał żadnej władzy, do Rudiego Dutschke — przedstawiciela lewicowej pozaparlamentarnej opozycji. W 1968 roku, 23-letni „wróg czerwonych" Josef Bachmann oddał trzy strzały ciężko raniąc Dutschego w głowę. W 1970 roku Bachmann powiesił się w więziennej celi.

Jeśli chodzi o sprawców, skala sięga od płatnych morderców z epoki Renesansu do niesłychanie skrupulatnie badających wszystkie pro i kontra spiskowców z 20 lipca 1944 r. (zamach na Hitlera). Sięga od religijnego fanatyka, który sam siebie określa jako „idealistę" do Herostratesa, który chciał być sławny i pozostać w historii świata nawet jako podpalacz. Skala ta sięga od szaleństwa do nonsensu.

Ofiarą religijnego fanatyzmu padł tolerancyjny król Francji, Henryk IV. Czczony przez lud jako „Henryk Dobry" monarcha jechał 14 maja 1610 roku w otwartej karecie przez Paryż. Gdy kareta zatrzymała się na moment w wąskiej paryskiej uliczce, katolicki nauczyciel, Francois Ravailac zadał Henrykowi IV dwa ciosy nożem w pierś. Został złapany i w dwa tygodnie później publicznie poćwiartowany.

Większość zamachowców na życie prezydentów amerykańskich — zarówno ci, którym się udawało, jak i ci, którzy nie zdołali zabić prezydenta — powoływała się na polityczne, chociaż bardzo pogmatwane i niejasne motywy. Dla prawie wszystkich ich czyny były reakcjami na własne porażki życiowe. Można to powiedzieć o ambitnym i niezaspokojonym w swych ambicjach aktorze, pochodzącym z Południa, Johnie Wilkesie Booth, który 14 kwietnia 1865 r. zastrzelił siedzącego w loży teatralnej prezydenta USA, Abrahama Lincolna.

Może to także pasować do osobowości Lee Harveya Oswalda, który 22 listopada 1963 r. wziął na muszkę Johna F. Kennedy'ego w Dallas. Następnego dnia po zamachu Oswald został zastrzelony przez samozwańczego mściciela Jacka Ruby'ego.

Fot. ARCHIWUM

Odnosi się to również w pewnym stopniu do Sirhana, imigranta z Jordanii, który 5 czerwca 1968 r. w Los Angeles zastrzelił kandydata na prezydenta, Roberta F. Kennedy'ego.

Niewątpliwie podobnymi psychologicznymi motywami powodował się sfrustrowany marnotrawny syn zamożnej rodziny, John Warnock Hinckley, który, kontynuując amerykańską czarną serię, strzelał do prezydenta Reagana.

Zamachowiec z Sarajewa, Gawriło Princip powodował się jednoznacznym i jasnym motywem politycznym. Serbski nacjonalista o rok wcześniej — na posiedzeniu tajnej organizacji pod nazwą „Zjednoczenie albo Śmierć" złożył świętą przysięgę, że wykona wyrok śmierci wydany przez „Belgradzki Komitet Centralny".

Jest zastanawiające, do jakiego stopnia zamach w Sarajewie, jeśli idzie o przygotowania i atmosferę, przypomina zamach na papieża. Tu i tam spektakularny czyn jest tylko ogniwem w łańcuchu aktów terroru, morderstw i zamachów.

Mimo to najbardziej brzemienny w skutki zamach w historii świata — doprowadził bezpośrednio do wybuchu wojny światowej i tym samym przygotował grunt do drugiej wojny, do wędrówek ludów i zabijania się ludów, do zatonięcia Europy w morzu krwi — był także w pewnym stopniu wynikiem przypadku.

Ponieważ w Austrii żaden młody człowiek poniżej 20 roku życia nie mógł zostać skazany na śmierć, 19-letni Princip i jego współtowarzysz spiskowy nie zawisnęli na szubienicy. Obaj zostali skazani na 20 lat ciężkiego więzienia, odbywali karę skuci ciężkimi łańcuchami, obaj zmarli na gruźlicę w ostatnim roku wojny, nie wiedząc w ogóle, że wojna wybuchła.

W końcu XIX wieku i na początku XX w carskiej Rosji panowała atmosfera sprzyjająca rozwojowi potencjalnych i rzeczywistych zamachowców. W sytuacji licznych anachronicznych przeciwieństw rosyjskiego imperium, rozpowszechnionej korupcji władzy i anarchicznych nastrojów — z miłości do ludu, z nienawiści do carskiego reżimu działali narodnicy, socjaliści i nihiliści. Nic dziwnego, że mnożyły się tam zamachy na gubernatorów, ministrów i oficerów policji, na faworyta carycy Rasputina i na cara Aleksandra II, którego próbowano zgładzić 6 razy, zanim zgładzono za siódmym razem.

„Tylko śmierć cara może doprowadzić do przełomu w życiu publicznym" — wołał student Stołowiow do swych przyjaciół podczas zebrania petersburskiej grupy nihilistów. — *„Dzięki takiemu czynowi zostanie oczyszczone powietrze i zniknie nieufność wobec inteligencji. Otworzy się szeroka droga do owocnej pracy wśród ludu i liczni młodzi szlachetni ludzie będą nam chcieli pomóc"*.

W 1877 roku podczas procesu nihilistów w Petersburgu na ławie oskarżonych zasiadło 198 ludzi, którzy podobnie myśleli i działali. 87 osób należało do szlachty, 19 było wysokimi urzędnikami, 8 oficerami, 33 — duchownymi, 11 — kupcami, 23 — przedstawicielami wielkiej burżuazji i 17 chłopami. Fala rosyjskich zamachów brała swój początek nie z warstw biednych i wydziedziczonych.

Przy rozpatrywaniu zjawiska zamachów terrorystycznych, trzeba poczynić rozróżnienie między zamachowcami indywidualnymi, których czyny mogą być oczywiście wykorzystywane przez innych ludzi, a uczestnikami ugrupowań, stawiających sobie jasne polityczne cele. Nie można określać grafa Stauffenberga jako indywidualnego zamachowca tylko dlatego, że niósł bombę. Był on szefem spisku.

Można natomiast dzień 20 lipca 1944 r. (data zamachu na Hitlera) włączyć niejako do problemów religijnego usprawiedliwienia czynu. Jeden ze spiskowców, major Ludwig von Leonrod — prawdopodobnie w nadziei, że będzie mógł uratować własną głowę — przyznał się, że katolicki ksiądz, Hermann Joseph Wehrle powiedział mu, iż zamach w żadnym wypadku nie jest grzechem. Ksiądz dał więc przyzwolenie.

Spowiednik, który jako świadek stanął przed sądem, ze świadka przekształcił się w oskarżonego, zaś z oskarżonego w skazanego na śmierć. Został powieszony.

Chociaż statystycznie nie zostało to udowodnione, to jednak wydaje się, że można twierdzić, iż telewizja doprowadziła do częstszych terrorystycznych zamachów. Niezwykłe wrażenie zrobił w 1960 roku pierwszy zamach na oczach milionów telewidzów: ofiarą zamachu padł japoński polityk opozycyjny Asanuma, który wystąpił przeciwko ratyfikacji amerykańsko-japońskiego układu o bezpieczeństwie. Mordercą Asanumy był 17-letni faszysta. Jeszcze przed rozpoczęciem procesu powiesił się w swojej celi.

To morderstwo było pierwszym zamachem zarejestrowanym przez kamery telewizyjne. 17-letni student najprawdopodobniej nie miał o tym pojęcia.

Oczywiście, telewizja — ta elektroniczna wielka widownia na światową skalę — może uskrzydlać potencjalnych zamachowców. W jakich innych warunkach mogliby liczyć na tak ogromną liczbę naocznych świadków, mogliby przypuszczać, że cały świat patrząc na ich czyn, z przerażenia wstrzyma oddech?

To, że wszystkie publiczne kroki amerykańskiego prezydenta — w wielkiej mierze w wyniku morderstwa popełnionego na prezydencie Kennedym — są obserwowane przez telewizyjne kamery i przekazywane w telewizyjnych filmach, mogło raczej prawdopodobnie zachęcać niż odstraszać autora ostatniego zamachu na prezydenta Reagana.

Dlaczego właśnie papież? Zamach na Jana Pawła II, ten zamach, który można określić jedynie słowami — ultima irratio jest na pewno co najmniej wyrazem nieświadomego pragnienia, by wyszukać sobie najwyższą ofiarę i największą widownię. Papież, a jeszcze do tego tak ogromnie popularny papież jak Jan Paweł II, najwyższy autorytet zachodniego chrześcijaństwa: plac przed bazyliką św. Piotra, miejsce z którego papież ciągle głosi błogosławieństwo urbi et orbi, a więc — z telewizją czy bez telewizji — głosi błogosławieństwo dla całej kuli ziemskiej.

Trudno doprawdy o większe szaleństwo.

(„Prawo i Życie" za hamburskim tygodnikiem „Der Spiegel")

Kongres ufologów

W Londynie odbył się, z udziałem 400 uczestników, Kongres Brytyjskiego Zrzeszenia Badań Niezidentyfikowanych Obiektów Latających. W krótkim komentarzu z tej imprezy londyński THE TIMES stwierdza, iż stara maksyma „widzę więc wierzę" odrzucana jest obecnie przez coraz większą liczbę ekspertów.

Jeden ze specjalistów, Stuart Cambell, oświadczył na Kongresie, iż jeśli odrzuci się ewentualne zwidy, majaki, halucynacje wzrokowe, to większość UFO widzianych przez obserwatorów wyjaśnić można zjawiskami elektrycznymi. Twierdzenie swoje poparł przedstawiając dwa przypadki zauważonych ostatnio UFO. W pracy swej korzystał ze swyklego laboratoriuma badawczego.

Nie wszyscy jednak ufolodzy zgromadzeni na Kongresie podzielają jego pogląd o możliwości racjonalnego wyjaśnienia większości zaobserwowanych niezidentyfikowanych obiektów latających. Fakty wydają się wskazywać, że sytuacja nie jest w istocie taka prosta. Od 1947 r., kiedy to po raz pierwszy zaobserwowano niezidentyfikowany obiekt latający, co dzisiaj popularnie określa się słowem UFO, w kartotekach na całym świecie zarejestrowano już ponad 100 tysięcy takich obserwacji. Może się więc okazać rzeczą niemożliwą przekonanie wszystkich ufologów, iż zjawiska te mają racjonalne wyjaśnienie.

Niektórzy ufologowie nadal zdają się wierzyć, iż w UFO pozaziemskie inteligentne istoty nawiedzają Ziemię. Eksperci ci podtrzymują w ten sposób jeden z najbardziej popularnych i najbardziej chwytliwych mitów związanych z niezidentyfikowanymi obiektami latającymi.

Ci zdeterminowani ufologowie odrzucają wszystkie inne argumenty. Nie przekonuje ich również fakt, iż coraz więcej dowodów naukowych wskazuje, że nie ma inteligentnych form życia w pozaziemskiej sferze układu słonecznego, a ślady prymitywnych form życia dostarczone przez sondy kosmiczne z Marsa, Jupitera i Saturna, potwierdzają jedynie zasadność sceptycyzmu w tym względzie.

Tak, czy inaczej ufologia rozwija się i zdobywa z roku na rok więcej zwolenników. Kartoteki zarejestrowanych UFO pęcznieją. Liczba ekspertów wzrasta. Umacnia się również sieć towarzystw i zrzeszeń ufologicznych w świecie. W wielu krajach zrzeszenia takie działają od lat. A zagadka pozostaje nadal niewyjaśniona.

Antoni Kroh

Zestarzałem się o tydzień

Rodzina wyjechała na wakacje, chodzę więc sobie goły po pustym mieszkaniu i śpiewam wiązankę arii operowych, męskich i żeńskich, własnego układu. Warto by się dzisiaj wykąpać, bo dzień parny, ale wanna wypełniona jest po brzegi brudnymi naczyniami, które zalałem gorącą wodą z dodatkiem antka, by nieco odmokły. Naczynia są zresztą w gospodarstwie domowym rzeczą zupełnie zbędną, właściwie mógłbym je spokojnie wyrzucić na śmietnik — albowiem kupiłem kilo agrestu, kilo rabarbaru, kilo suszonych gruszek, kilo czarnych porzeczek, wrzuciłem to wszystko do wrzątku, zasypałem cukrem i mam wiadro kompotu. Kartkę na mięso ofiarowałem koleżance — niech sobie dziewczyna użyje. Rano kompot z chlebem, w południe kompot z chlebem, wieczorem kompot z chlebem, a gdy mi się to nudzi, idę na obiad do „Orbisu". Wczoraj zapłaciłem 186 złotych i do tego jeszcze dwa złote na szatnię, bo padało.

Wpadłem ostatnio w złe towarzystwo. Jeszcze rok temu miałem wokół siebie samych wesołych kompanów, radosnych druhów, ufnie patrzącą w przyszłość młodzież płci obojga. Z karminowych warg perlił się śmiech, a w głowie szumiało wino. Dziś, gdziekolwiek się zwrócę, do kogokolwiek gębę otworzę — wszyscy narzekają, złorzeczą, psioczą, utyskują, biadają, lamentują, żalą się, pomstują, zgrzytają zębami. Nierzadkie są postawy ekstremalne, cytuję: „Do dupy z tym wszystkim." Koniec cytatu. Nil desperandum, przyjaciele! Mamy przecież na pociechę strawę duchową: „Trylogię" Sienkiewicza i „Pisane w pośpiechu" Ogorzałka. Zwłaszcza „Potop" ukoi nasze skołatane nerwy w tych niełatwych dziejowych chwilach. Porwaliśmy oto księcia Bogusława, galopujemy na rączych dziatnetach, a nikt dotąd jeszcze nie wypalił nam w pysk z obu rur. Kiemlicze, za mną!

Kochane radio donosi, że nad Polskę nadciąga kryzys guzikowy. Największa w kraju fabryka guzików w Myślenicach nie produkuje, bo nie ma surowców, zaś przemysł lekki żąda iluś tam milionów guzików w dwustu wzorach, o ile dobrze zapamiętałem. Albo więc koszule będą sprzedawane bez guzików — i żadne w tym nieszczęście, bo przecież każdy może odciąć guziki od starej koszuli — albo też w sukurs przyjdzie wojsko, jak zwykle w ciężkich chwilach, i począwszy od czwartego kwartału w garderobie Polek i Polaków przeważać będą guziki z orzełkami. Można jedynie obawiać się, że powstaną gangi, obcinające ludziom guziki w zatłoczonych autobusach. Najlepiej wyjdą na tym ekshibicjoniści i zagraniczni fotoreporterzy. Gdy tylko „Paris-Match" zamieści artykuł o polskich sankiulotach, nie omieszkam Czytelników „Dunajca o tym powiadomić. Sądzę, że z przyczyny braku guzików temperatura polityczna nieco opadnie — bowiem, jak to zauważył Stanisław Jerzy Lec, nie nosi się szabli do ineksprymabli.

Już chyba z pół roku temu obiecałem dzieciom zrobić półeczki w ich pokoju. Cisza, spokój, zabrałem się więc do roboty. Siedzę pośród pił, raszpli, desek, listewek oraz wkrętów i czytam „Kulisy". Ostatnią stroniczkę, rzecz jasna, jedną z niewielu w polskiej prasie dobrze redagowanych. W ogóle uwielbiam ostatnie, humorystyczne stroniczki niektórych czasopism, w tym „Dunajca", niedzielnej „Gazety Krakowskiej" oraz „Wieści". Owe kolumny humoru służą mi jako test psychiatryczny. Gdy roześmieję się z któregoś dowcipu, to niechybny znak, że jestem ciężko przepracowany, stan mój jest krytyczny i należy natychmiast odpocząć. Otóż „Kulisy" drukują takie coś, cytuję: „SPRAWA. Łodzianka Zofia S. skarży do sądu lekarkę-ginekologa za nieskutecznie przeprowadzony zabieg przerwania ciąży. Latem ubiegłego roku powódka ze względu na trudne warunki rodzinne nie chcąc urodzić kolejnego dziecka poddała się zabiegowi ginekologicznemu. Po pewnym czasie Zofia S. zorientowała się, iż nadal jest w ciąży i udała się do innego lekarza, który stan ten potwierdził. Ciąża była już zaawansowana, jakakolwiek interwencja byłaby już spóźniona, dziecko się urodziło. Zofia S. skarży lekarkę, która wykonała nieudany zabieg, o odszkodowanie za cierpienia moralne i fizyczne, a także obciąża ją odpowiedzialnością za ewentualne komplikacje zdrowotne dziecka i własne, które mogą być skutkiem niefortunnej ingerencji chirurgicznej w okresie ciąży."

Koniec cytatu.

Jak można przypuszczać, ów niecodzienny proces rodzina S. z miasta Łodzi będzie długo pamiętać. Wyobraźmy sobe, że synek (jeśli to synek) pani S. za lat dwanaście albo czternaście przytuli się do swojej mamy na jakiejś majówce i poprosi. „Mamusiu, opowiedz mi, jak to było, kiedy byłem mały!" — Wiesz, Mareczku — odpowie mamusia ze śmiechem — miałam zamiar cię wyskrobać, bo już was było czworo w domu, ale niechlujna ginekolożka wykonała zabieg nieporządnie, więc żyjesz. Podałam ją za to do sądu, zołzę jedną, wygrałam proces, dostałam odszkodowanie, ładny grosz, i kupiłam za to dywan do największego pokoju...

Przechodząc do innego tematu pragnę powiedzieć, że jedną z najciekawszych organizacji społecznych, nie tylko w naszym województwie, ale w całej Polsce, jest niewątpliwie Związek Podhalan. Stowarzyszenie to interesuje mnie szczególnie z dwóch względów. Po pierwsze, działa na Podhalu, a po drugie i ważniejsze, Związek Podhalan był i jest organizacją autentyczną, samorządną, opierającą się skutecznie wszelkim manipulacjom, umiejącą stanąć sztorcem, gdy trzeba. Związek Podhalan zrzesza ludzi, z których zdaniem należy się liczyć, ludzi znających i kochających swoją ziemię. Związek Podhalan powinien mieć możność zabierania głosu i współdecydowania w najważniejszych sprawach polskiej góralszczyzny. Co bynajmniej nie oznacza, bym nie potrafił zdobyć się na parę gorzkich słów pod adresem Związku. Dlatego bardzo pragnąłem pojechać na walny zjazd Związku Podhalan, już trzydziesty trzeci z kolei, który odbył się w Ludźmierzu w dniach 13—14 czerwca. aby napisać reportaż, właśnie tych spraw dotyczący. Otóż zaproszenie na Zjazd wysłane trzeciego czerwca, dotarło do moich rąk dwudziestego czwartego czerwca. List wędrował z Nowego Targu do Nowego Sącza przez trzy tygodnie. Więc nie byłem, nie napisałem. I co? I nic.

Z powodu niskiego wyrobienia politycznego, a może raczej z powodu notorycznego przepracowania i braku czasu, niezbyt starannie śledzę telewizyjną i prasową dyskusję na temat zmian w partii. Wielka szkoda, bo dzieją się rzeczy ważne i ogromnie ciekawe. Na przykład problem przynależności do PZPR ludzi wierzących. Rozwiązanie tej kwestii jest, jak sądzę, sprawą podstawową. Ze szczególnym upodobaniem opowiadano historyjki o sekretarzach, którzy po kryjomu jeździli do odległych parafii chrzcić dzieci, albo w niedzielę rano zabierali swoje potomstwo „na wycieczkę", by w samochodzie przebierać je w uroczyste stroje do Pierwszej Komunii Świętej. Naturalnie, wynikały z tego różne perypetie, sypki, zwichnięcia karier. Do żelaznego repertuaru opowiadaczy kawałów, jak Polska długa i szeroka, należało takie oto wyznanie partyjnego ateisty: „Jeśli Boga nie ma, co daj Boże, to chwała Bogu. Lecz jeśli Bóg jest, co nie daj Boże, to niech ręka Boska broni!"

Kwestia to bardzo skomplikowana, nie mam zamiaru silić się tu na merytoryczne zajęcie stanowiska. Niechaj mi tylko będzie wolno wyjaśnić skąd tytuł owego przydługiego felietonu. Po prostu zacząłem myśleć o jego napisaniu w poniedziałek rano, a teraz, kiedy go kończę, jest niedziela, późny wieczór. W trakcie pracy nad nim zestarzałem się o cały tydzień.

Emil Biela

LICYTACJA

Kupienie samochodu za polskie złotówki tak zwyczajnie, z dnia na dzień, jest dziś rzeczą niemożliwą. Chcesz samochodu, to go sobie narysuj — mówią ci, którzy wygrali ten środek lokomocji w przedziwnych losowaniach prowadzonych przez NBP czy PKO, sam nie wiem, bo ja oczywiście niczego, jak zwykle, nie wylosowałem. Pozostaje więc giełda samochodowa lub ogłoszenia w gazecie, ale i dla tych ostatnio nie ma miejsca z powodu spraw ważniejszych. W Krakowie ceny straszliwe (np. za nowego malucha „tylko" dwieście trzydzieści tysięcy żądano w czerwcu) skutecznie odstraszają poczciwych ciułaczy — niedoszłych nabywców.

Kiedy więc przeczytałem w gazecie ogłoszenie o licytacji samochodu osobowego w Urzędzie Celnym w Chochołowie, postanowiłem przyjrzeć się takiej imprezie. Byłem ciekawy niczym diabeł nowej duszy; cuda o takich licytacjach słyszałem, a tu nadarzała się okazja osobistego sprawdzenia. Może nawet...

Licytowany pojazd można było oglądać przez trzy dni. Pojechałem do Chochołowa w sobotę, trzeciego dnia, bo chciałem się zorientować, ilu chętnych było dotychczas. Niezwykle sympatyczny, emerytowany celnik, gaduła nad gaduły, uroczyście otwarł garaż i... zobaczyłem piękną zieloną „Ładę" opatrzoną jugosłowiańskimi numerami rejestracyjnymi.

— Pojazd jest zamknięty. Nie wolno niczego dotykać! — stary celnik nie stracił służbowego tonu.

Patrzyłem na wóz jak na złote jajko.

— Samochód jest na benzynę i na płynny gaz — kusił umiejętnie celnik. — Będzie piękna licytacja.

Dowiedziałem się też, że w czwartek było tu jakieś dwadzieścia pięć osób. Podobnie w piątek. Dzisiaj ja jestem pierwszy, ale to dopiero godzina dziesiąta rano.

Pożegnałem „Ładę" miłosnym spojrzeniem i postanowiłem przyjechać jeszcze raz do Chochołowa we wtorek. Na licytację. Przez trzy noce śniłem automobilowe wyczyny spod znaku „YU". Budził mnie ryk motoru, pisk hamulców, trzask z rozmachem zamykanych drzwiczek samochodowych ... słowem: rajd Monte Chochołów w całej krasie.

Byłem na miejscu przed czasem. Licytacja miała rozpocząć się punktualnie o jedenastej. Kilku mężczyzn przechadzało się nerwowo. Celnik nie wpuszczał do ogrodu, gdzie stała „Łada".

Zajechał fiat 125 p. Wysiadł z niego mężczyzna w wiatrówce, z włoskim wąsikiem pod nosem. Bacznie rozejrzał się wokół. Skinieniem ręki zawołał nas wszystkich ku sobie.

— Panowie! — rzekł poważnie, głosem znamionującym wielkie obycie i niebywałe doświadczenie. — Panowie! Wy chcecie kupić to pudełko? I ja też. Ale jest pewna różnica. Otóż ja pomiędzy was sześciu rozdzielam sto dwadzieścia tysięcy złotych, ale wy za to nie będziecie licytować. Jasne? Bierzecie po dwadzieścia patyków na łebka i życzycie mi szerokiej drogi. Zgoda?

Potencjalni nabywcy przestąpili nerwowo z nogi na nogę, przełożyli teczki z pieniędzmi z ręki do ręki, uśmiechnęli się chytrze i domyślnie jeden do drugiego i niesklądnym chórem wyrazili aprobatę.

— Ale jak się zjedzie więcej chętnych, to co? — zaoponowałem przytomnie.

— To nic z tego nie będzie — odpowiedział nagle rozsierdzony włoski wąsik.

I nie pomyliłem się. Do jedenastej był już cały tłum. Nawet kobiety, panienki i dzieci. Najmniej setka ludzi. Znalazł się jeszcze jeden, który ofiarował po pięć tysięcy złotych za wycofanie się z licytacji, ale nie mógł ogarnąć pokusą podnieconych licytatorów, więc prędko zrezygnował. Urzędnik przy stoliku wystawionym na świeże powietrze odbierał dowody osobiste (były również i paszporty) i tuż przed wyznaczoną godziną zamknął listę: zapisał dwadzieścia cztery osoby. Ostatnie spojrzenie na zegarek i... można zaczynać!

— Sto dwadzieścia cztery tysiące dwieście, po raz pierwszy!

— Sto pięćdziesiąt!

— Sto siedemdziesiąt!

— Dwieście!

W dwie minuty podskoczyło do trzystu tysięcy. Wokół stolika blade lub czerwone twarze z nerwowo biegającymi oczami. Z tyłu samochód z bezczelnie podniesioną maską. Na ostrym wirażu trzystu tysięcy przyhamowali dwaj panowie: włoski wąsik i góral w skórzanym kapeluszu.

Włoski wąsik podbijał cenę o tysiąc złotych. Góral spokojnie powtarzał urzędnikowi przy stoliku:

— A dopisz pan tam setkę!

I ciągle był górą. Ale widać, że za chwilę wycofa się.

Ciężko przekładał z ręki do ręki czarną wypchaną teczkę. W końcu, przy trzystu dwudziestu tysiącach zaklął grubo i zrezygnował z konkurencji. Triumf czarnego wąsika trwał ledwie parę sekund, bo do licytacji niespodziewanie włączyli się dwaj panowie z miasta. Podbili cenę do trzystu pięćdziesięciu tysięcy.

Wtedy zupełnie nieoczekiwanie odezwał się wysoki mężczyzna w czarnych okularach:

— Trzysta pięćdziesiąt jeden tysięcy.

Urzędnik powtórzył. Potem po raz drugi i trzeci. Koniec! Samochód został sprzedany mieszkańcowi Zakopanego.

Wszyscy rozchodzą się, odbierają dowody osobiste, odjeżdżają i... klną na czym świat stoi: żeby za trzyletni samochód dać taką sumę! Ludzie powariowali! Pewnie będzie koniec świata...

— Może w samochodzie są jakieś skrytki ze złotem? — podsuwa ktoś.

— W Cieszynie są jeszcze lepsze licytacje. Bywa, że cena wywoławcza za samochód wynosi milion złotych. I nabywcy są! Więc tutaj nic nadzwyczajnego się nie działo! — uspokaja ktoś.

Zależy dla kogo — nic. Nie minęło nawet dwadzieścia minut, a państwo zarobiło przeszło dwieście dwadzieścia tysięcy złotych. Nieźle!

Dwudziestu trzech niedoszłych kupców może dalej śnić chocholi sen o automobilowych przewagach. W Chochołowie.

GRZYBY

Od dawna grzyby odgrywają poważną rolę w żywieniu ludzi, stanowią bowiem doskonałą przyprawę pobudzającą apetyt, a także wzbogacają nasze pożywienie. Zbieramy je głównie dla wartości smakowych i aromatycznych, w mniejszym zakresie dla wartości odżywczych, gdyż tylko część białek zawartych w grzybach jest przyswajalna, a poziom witamin i soli mineralnych — nie odgrywa istotniejszej roli w zaspokajaniu potrzeb organizmu ludzkiego na te składniki odżywcze. Wiele gatunków grzybów zawiera szkodliwe dla zdrowia toksyny. Niektóre z nich należą do najsilniej działających na świecie roślin — trucizn np.: toksyny muchomora sromotnikowego, muchomora jadowitego czy wiosennego wprowadzone do organizmu ludzkiego nawet w niewielkich ilościach — rzędu kilkunastu miligramów (co odpowiada ok. 100 g świeżego grzyba) — powodują zejścia śmiertelne.

Do grzybów niejadalnych, które zawierają toksyny, a równocześnie wykazują znaczne podobieństwo cech makroskopowych i organoleptycznych do gatunków jadalnych — prócz wymienionych muchomorów mylonych często z pieczarką polną, gąską zieloną, gołąbkami, czubajką kanią — należą zasłoniak rudy, piestrzenica kasztanowata, strzępiak ceglasty, krowiak podwinięty zwany olszówką, gołąbek wymiotny i mleczaj wełnianka.

Obok zatruć wywołanych gatunkami grzybów zawierających toksyny, spotykamy się z całym szeregiem zatruć natury nieswoistych, spowodowanych spożyciem grzybów surowych lub potraw przygotowanych z grzybów jadalnych starych, które uległy częściowemu rozkładowi na drodze przemian chemicznych lub pod wpływem mikroorganizmów gnilnych.

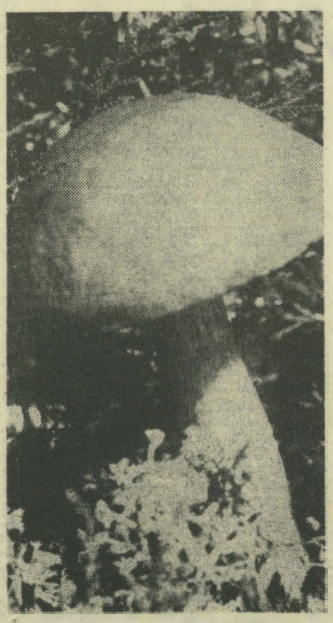

Fot. ARCHIWUM

grzybów czy innych mikroorganizmów szkodliwych dla człowieka.

Chcąc zabezpieczyć się przed zatruciem grzybami, należy:

- zaopatrzyć się w atlas grzybów jadalnych,
- nauczyć się dobrego rozpoznawania najgroźniejszych gatunków grzybów trujących,
- nie zbierać i nie kupować od przypadkowych dostawców bliżej nieznanych gatunków oraz grzybów młodych o niewykształconych owocnikach, które trudno rozpoznać i grzybów zbyt starych, zaczernionych lub wodnistych,
- nie brać na grzybobranie dzieci w wieku przedszkolnym, które są narażone na dodatkowe niebezpieczeństwo spożycia grzybów surowych,
- dzieci i młodzież szkolna powinny zbierać grzyby wyłącznie pod nadzorem osób dorosłych,
- przed sporządzeniem potraw lub przetworów z grzybów — zebrane lub kupione grzyby należy posegregować wg atlasu — gatunki niejadalne lub nierozpoznane — zniszczyć,
- nie sporządzać i nie spożywać potraw z grzybów blaszkowych, które nie zostały z całą pewnością zidentyfikowane jako jadalne,
- pamiętać o tym, że rozpowszechniony sposób rozpoznawania gatunków grzybów jadalnych od trujących — przy pomocy prób — „ciemnienia cebuli" czy „czernienia srebrnej łyżki" jest po prostu przesądem — większość najsilniej trujących grzybów, np. muchomor sromotnikowy, nie reaguje na próbę łyżki czy cebuli.

Również błędne jest rozpoznawanie gatunków trujących według ostrego, gorzkiego smaku. Te kryteria mogą być stosowane wyłącznie przy identyfikowaniu gołąbków, bowiem wszystkie gołąbki niejadalne wykazują smak gorzko-piekący. W przypadku stwierdzenia złego samopoczucia lub jakichkolwiek dolegliwości żołądkowo-jelitowych po spożyciu potraw z grzybów — należy niezwłocznie zgłosić się do lekarza. Opóźnione leczenie czy rozpoznanie przyczyny zatrucia jest najczęstszym powodem tragicznych nieszczęść.

Po wystąpieniu zatrucia pamiętać należy o zabezpieczeniu resztek niejedzonych potraw lub resztek surowych grzybów oraz pierwszych wymiocin i kału chorego — pobranych przed podaniem leków. Materiał ten należy natychmiast oddać lekarzowi udzielającemu pierwszej pomocy.

Z LEŚNEJ GŁUSZY

Rykowisko

Gdy wchodzisz do lasu, życie w nim zamiera — wszystko co żyje stara się przytulić do poszycia, pozostać bez ruchu tak długo, aż intruz czyli niebezpieczeństwo pójdzie dalej. Tak też było i wtedy, gdy tuż po północy zasiadłem na ambonie. Wiedziałem jednak: dzikie stworzenia mają to do siebie, że jeżeli nie czują zapachu człowieka i nie widzą go, szybko zapominają, że niedawno zakłócił im spokój.

Zaczynało szarzeć. Noc jeszcze usiłowała panować nad puszczą, ale na porębę zaczarowaną spokojem mroku nieśmiało wnikały pierwsze świadectwa mającego wschodzić dnia.

Życie kniei wracało do ustalonego tysiącami lat rytmu. Najpierw na porębę weszło małżeństwo sarnie — śliczna koza zatrzymała się na skraju młodnika, zlustrowała dokładnie otwartą przestrzeń i — stwierdziwszy widocznie, że nikt nie przeszkodzi w posiłku — wyszła na środek poręby poskubując listki. Za nią z lasu wyłonił się koziołek w wieku „podlatusiałym": ładnie prezentujące się poroże wykazywało pierwsze oznaki uwstecznienia. Samiec oglądał się za siebie, z czego wnosiłem, że zobaczymy jeszcze kogoś. Istotnie — ledwie sarny odeszły, w krzaku pokazał się łeb. Pogratulowałem sobie udanego zakupu zeissowskiej lornetki. Przy takiej widoczności, nieuzbrojonym okiem można najwyżej dostrzec plamę, ja zaś widziałem: w krzaku najwyraźniej siedział lis. Na polanę jednak nie wyszedł, widocznie uważał, że tropienie saren jest bezsensowną stratą czasu.

Przez długi czas panował idealny bezruch. To tu, to tam postękiwały jelenie-byki, jednak żaden mi się nie ukazywał. Dopiero tuż przed świtem na porębę wysypały się łanie z młodzieżą — około 12 sztuk, a dobrą chwilę za nimi wyszedł byk: skarcił dość brutalnie jakąś niesforną łanię, sapnął, obiegł parę razy chmarę dookoła i odpowiedział potężnym głosem konkurentowi, który równie okazałym rykiem przejawiał nieodpartą chęć zawładnięcia jego haremem.

Byk stadny mógł, wedle mojej oceny, mieć 8—10 lat, odznaczał się pięknym, medalowym wieńcem i silną wolą obrzymania władzy nad podopiecznymi. Uzurpator, który wyłonił się z gęstwiny, był starszy, jego wieniec miał wyraźnie selekcyjne cechy.

Samce stały chwilę naprzeciw siebie uderzając porożami o ziemię. Nagle stadny byk uderzył. Skleszczyły się wieńcami. Przez chwilę wyglądało to na przepychankę, potem jednak starszy uwolnił się i uderzył w łopatkę przeciwnika; odskok i ponowne spięcie tykami. Żaden nie zamierzał ustąpić.

Zdecydowałem się na strzał; może nie chciałem dopuścić do niepotrzebnego poranienia, może trochę żal mi się zrobiło bądź co bądź pięknego władcy puszczy?

Krzyż łanety na łopatkę, palec nacisnął spust i jeleń osunął się na ziemię. Na huk strzału łanie runęły w młodnik, natomiast ich pan, w furworze walki nie słyszący prawdopodobnie strzału, stanął zdumiony nad ciałem swojego niedawnego wroga. Trącał pyskiem leżącego i wyglądało, jakby mówił mu: — No, wstań, przecież naprawdę nie chciałem tak mocno uderzyć.

Zrobiło mi się straszne głupio. Poroże-trofeum dałem koledze. Nie chciałem nikt go w swoim domu.

STANISŁAW SIMIŃSKI

Rys. FRANCISZEK PAŁKA

Gęsiareczka

Żyła sobie niegdyś królowa, której mąż umarł dawno i została jej tylko piękna córeczka. Kiedy dorosła przyobiecano ją pewnemu królewiczowi w odległym królestwie.

Gdy nadszedł czas ślubu i dzieweczka miała odjechać w kraj daleki, dała jej matka wiele kosztownych sprzętów i klejnotów, złota, srebra i kamieni drogocennych, słowem — wszystkiego, co należy do wyprawy królewny. Stara królowa bardzo bowiem kochała swoją córkę. Dała jej też damę dworu, która przyrzekła opiekować się nią w drodze i oddać królewnę w ręce narzeczonego. Każda dostała na drogę konia, koń zaś królewny nazywał się Falada i umiał mówić.

Gdy nadeszła chwila rozstania, poszła matka do swojego pokoiku i zacięła się nożykiem w palec, potem podłożyła białą szmatkę, aby trzy krole krwi splynęły na nią; dała tę szmatkę córce i rzekła:

— Drogie dziecko, schowaj to dobrze, przyda ci się w drodze.

Pożegnały się z żalem, a królewna schowała szmatkę na piersi, siadła na konia i ruszyła w drogę.

Po godzinie jazdy uczuła królewna silne pragnienie i rzekła do damy dworu:

— Zejdź z konia i nabierz moim pucharem, który wzięłaś ze sobą, trochę wody ze strumyka, bardzo jestem spragniona.

Ale dama dworu odparła:

— Jeśli masz pragnienie, zejdź z konia, nachyl się nad strumykiem i napij się. Ja ci usługiwać nie będę!

Zsiadła więc królewna z konia, pochyliła się nad źródłem i ugasiła pragnienie, ale złotego pucharu nie dostała.

— Ach, Boże! — rzekła płacząc.

A trzy krople krwi odparły:

— Gdyby to matka twa widziała, serce by jej pękło z żałości.

Ale królewna była pokorna, nie skarżyła się. Ujechały kilka mil, a że dzień był gorący, królewna znowu uczuła pragnienie i zapomniawszy o złych słowach poprzednich rzekła do damy dworu:

— Zejdź z konia i nabierz pucharem trochę wody ze źródła, bardzo jestem spragniona.

Ale dama dworu odparła:

Jeśli masz pragnienie, zejdź z konia, nachyl się nad wodą i napij się. Ja ci usługiwać nie będę!

Zsiadła więc królewna z konia, pochyliła się nad źródłem i ugasiła pragnienie.

— Ach, Boże! — rzekła płacząc.

A trzy krople odparły:

— Gdyby to matka twa widziała, serce by jej pękło z żałości!

Ale kiedy królewna piła, szmatka z trzema kroplami krwi matczynej wypadła jej z zanadrza i popłynęła z wodą, a królewna tego nie spostrzegła. Ujrzała to jednak zła dwórka i uradowała się, że zdobędzie moc nad królewną, gdyż tracąc trzy krople krwi matczynej stawała się ona słaba i bezbronna.

Kiedy więc królewna chciała wsiąść z powrotem na konia, dama dworu zawołała:

— Falada należy do mnie, a ty siadaj na mojego rumaka!

I biedna królewna musiała zgodzić się na to. Potem dama dworu kazała jej zdjąć szaty królewskie i włożyć inne suknie, a wreszcie musiała królewna przysiąc w obliczu niebios, że żadnemu człowiekowi na dworze królewskim nie powie o tym ani słowa. Królewna przysięgła pod groźbą śmierci, ale Falada słyszała wszystko i zapamiętała.

Dama dworu siadła na Faladę, a królewna na jej konia i ruszyły dalej, aż przyszły wreszcie do zamku królewskiego. Wielka była radość z ich przybycia, a królewicz wybiegł im naprzeciw i zdjął damę dworu z konia sądząc, że to jego narzeczona. Wprowadzono ją po marmurowych schodach, prawdziwa zaś królewna musiała pozostać na dole.

Tymczasem stary król wyjrzał przez okno i zobaczył, że piękną dzieweczkę pozostawiono na dziedzińcu. Zadziwił się jej urodzie i delikatności. Udał się więc do komnaty narzeczonej i zapytał fałszywej królewny, kto to jest.

— Wzięłam ją po drodze do towarzystwa; dajcie jej coś do roboty, żeby nie próżnowała.

A król nie wiedział, jaką by jej dać robotę, i rzekł:

— Mam tu chłopca małego, który pasa gęsi, niechaj mu pomaga.

Chłopiec nazywał się Kostuś i prawdziwa królewna musiała z nim pasać gęsi.

Fałszywa zaś narzeczona rzekła do młodego króla:

— Najdroższy, uczyń mi przysługę.

Królewicz zaś odparł:

— Wszystko czego zapragniesz!

— Zawołaj więc oprawcę i każ obciąć głowę koniowi, na którym przyjechałam, gdyż rozgniewał mnie w drodze.

W rzeczywistości zaś bała się fałszywa królewna, że Falada, która umiała mówić, mogłaby ją zdradzić.

Musiała więc biedna Falada umrzeć.

A gdy się o jej śmierci dowiedziała prawdziwa królewna, obiecała oprawcy złotego dukata za drobną przysługę: w mieście była wielka brama i tędy gnała królewna gęsi co rano i wieczór. Poprosiła go więc, aby zawiesił nad tą bramą głowę Falady, żeby ją mogła widywać jeszcze. Oprawca przyrzekł jej to i zawiesił głowę Falady nad ciemnymi wrotami.

Gdy królewna szła rano z Kostusiem na łąkę, rzekła przechodząc obok głowy:

— O Falado wisisz nad wrotami!

A głowa Falady odparła:

— O królewno, biegasz za gąskami! Gdyby to matka twa widziała, serce by jej pękło z żałości!

Poszła królewna cicho za miasto, goniąc przed sobą gęsi. A gdy przyszła na łąkę, siadła i rozpuściła włosy, całe niby ze szczerego złota. Kostuś patrzył na nią radując się ich blaskiem i chciał jej odciąć pukiel.

Wówczas królewna zawołała:

— Powiej, powiej wiaterku, porwij czapkę Kostusiowi, niech ją goni, niech ją łowi, a ja złote włosy rozplotę i uczeszę, i na powrót zaplotę!

Zerwał się silny wiatr, porwał Kostusiowi czapkę, a chłopiec biegał za nią i biegał, a zanim powrócił, królewna już skończyła czesanie.

Rozgniewał się Kostuś i nic nie mówił do niej, aż nadszedł wieczór i pognali gęsi z powrotem.

Nazajutrz rano, przechodząc pod bramą, rzekła znowu królewna:

— O Falado, wisisz nad wrotami!

A głowa Falady odparła:

— O królewno, biegasz za gąskami! Gdyby to matka twa widziała, serce by jej pękło z żałości!

A na łące poczęła czesać włosy i Kostuś chciał znowu obciąć jej pukiel. Lecz królewna zawołała:

— Powiej, powiej, wiaterku, porwij czapkę Kostusiowi, niech ją goni, niech ją łowi, aż ja złote włosy rozplotę i uczeszę, i na powrót zaplotę!

Ale wieczorem poszedł Kostuś do króla i opowiedział wszystko.

Stary król kazał mu wygnać rano gęsi z gęsiareczką, sam zaś ukrył się w ciemnej bramie. I usłyszał jak królewna zawołała:

— O Falado, wisisz nad wrotami!

A głowa Falady odparła:

— O królewno, biegasz za gąskami! Gdyby to matka twa widziała, serce by jej pękło z żałości!

Poszedł król za nimi na łąkę i ukrył się w krzakach. Z ukrycia ujrzał, jak gęsiareczka rozplotła włosy i jak Kostuś chciał jej obciąć pukiel. Wówczas dziewczynka zawołała:

— Powiej, powiej, wiaterku, porwij czapkę Kostusiowi, niech ją goni, niech ją łowi, aż ja złote włosy rozplotę i uczeszę, i na powrót zaplotę!

I wnet zerwał się silny wiatr i porwał czapkę Kostusiowi, pędząc ją przez pole, póki gęsiarka nie zaplotła złotych włosów.

Król niedostrzeżony wrócił do domu, a gdy gęsiareczka przyszła wieczorem z łąki, zawołał ją do siebie i zapytał, co to wszystko ma znaczyć.

— Tego nie mogę wam panie, rzec, przysięgłam bowiem wobec niebios, że żadnemu człowiekowi tego nie powiem — powiedziała gęsiareczka.

Król nalegał, ale nic z niej wydobyć nie mógł. Rzekł więc wreszcie:

— Jeśli nie możesz tego powiedzieć żadnemu człowiekowi, to użal się przed piecem. — I wyszedł z komnaty.

Królewna weszła do pieca, zapłakała gorzko i rzekła:

— Otom jest przez cały świat opuszczona, a jestem przecie królewską córką; dama dworu zmusiła mnie do oddania jej mych sukien królewskich i zajęła moje miejsce u boku królewicza, gdy ja muszę gęsi pasać... Gdyby to moja matka widziała serce pękłoby jej z żałości!

Król stał na dachu u wylotu komina i słyszał wszystko. Zszedł więc i kazał jej wyjść z pieca...

Ubrano ją w szaty królewskie i wówczas dopiero ujrzeli wszyscy, jak była piękna. Król wezwał swego syna i opowiedział mu wszystko. Królewicz uradował się bardzo, że ma tak piękną i cnotliwą narzeczoną.

Wyprawiono zaraz wielką ucztę na którą sproszono mnóstwo gości. Na końcu stołu siedział królewicz, po obu stronach królewicza fałszywa i prawdziwa narzeczona. Ale dama dworu była tak zaślepiona, że nie poznała królewny, której się tu zresztą nie mogła spodziewać.

Podczas uczty dał król damie dworu taką zagadkę; na co zasłużyłby ktoś, który by tak a tak postąpił, i opowiedział przy tym własne jej przestępstwo.

A na to fałszywa narzeczona:

— Dwórka taka nie byłaby niczego więcej warta jak wygnania.

— Otoś wydała wyrok na siebie? — zawołał król i kazał wygnać ją z kraju.

A królewicz ożenił się z królewną i przez długie lata panowali oboje w szczęściu i pokoju.

Nasze tradycje

Zbliżają się urodziny naszej Ludowej Ojczyzny. Jak przystało na to Święto porządkuje się otoczenie domów, skwery, rynki i ulice wyglądają odświętnie — udekorowane i przystrojone flagami. I my z tej okazji mamy dla Was interesujące propozycje, oto one:

— każdy członek zastępu zbierze jak najwięcej informacji od swojej rodziny na temat działalności drużyn harcerskich na Waszym terenie,

— zdobyte wiadomości powinny Wam posłużyć do opracowania historii ruchu harcerskiego w najbliższej okolicy,

— starajcie się również dowiedzieć o historii harcerstwa na terenie całego kraju — pamiętając, że w tym roku obchodzimy rocznicę 70-lecia harcerskiego ruchu wychowawczego.

Zdobyte informacje w formie kroniki wydarzeń harcerstwa na Waszym terenie prześlijcie pod naszym adresem — zostaną one wykorzystane przy opracowywaniu historii harcerstwa regionu południowego. Zorganizujcie spotkanie z najstarszymi harcerzami — poproście o chwilę wspomnień. Może wykorzystacie ich doświadczenia w swojej bieżącej działalności. Natomiast w dniu 22 lipca całym zastępem, wraz z rodzicami, weźcie udział w ogniskach lipcowych — organizowanych w Waszej miejscowości. Czekamy na Wasze opracowania i meldunki.

ZADANIE MIĘDZYZBIÓRKOWE:

Powtórzcie Wasze ulubione piosenki, skecze i wierszyki.

Piosenka tygodnia

HARCERSKI KRZYŻ

Idziemy w życie bez trwogi
radośnie wśród ludu mas
i raz z obranej już drogi
moc żadna nie zepchnie nas

Marsz naprzód nasza drużyno
w dół nigdy lecz zawsze wzwyż
po latach, które przeminą
harcerski zostanie krzyż

W warsztacie, w szkole czy biurze
na jeden zeszliśmy szlak
w harcerskim szarym mundurze
ten jeden zdobi nas znak

W tym tygodniu: zastęp śpiewa.

Krzyżówka nr 29

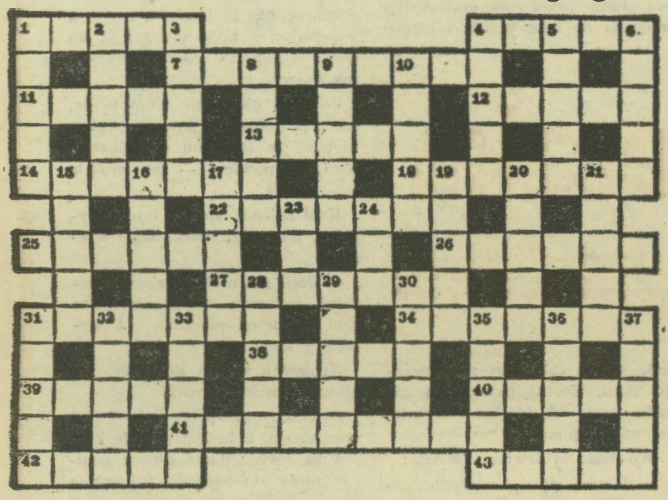

POZIOMO: 1) lepszy na wokności łada jaki 4) do przyozdobienia i przyprawienia rosołu, 7) tam gdzie Kadyks i Grenada, 11) miał kłopot, komu dać jabłko, 12) rozczłapany pantofel, 13) zaufania lub nieufności, 14) owoc dla koneserów zwany też smaczliwką, 18) tworzenie stromego brzegu przez wodę, 22) współbrzmiąco, 25) wypływa z Wielkiego Stawu Hińczowego w Tatrach, 26) pożyczka na zbyt wysoki procent, 27) podium dla piosenkarzy, 31) krwiopijczyni, 34) jednostka marynarki lub sił powietrznych, 38) herb wielu zasłużonych Polaków; najstarszym był Piotr z Prawkowic, 39) popularny koczkodan, 40) gatunek skorupiaków przymocowujących się do podłoża, 41) haniebna niegodziwość, 42) papieskie uroczyste nakrycie głowy do czasu Pawła VI, 43) HCOOH i HJ.

PIONOWO: 1) mała grupa krzewów, 2) gra-poprzedniczka ringo i frisby, 3) lepsza niźli groch, 4) wraz z burzą zapowiadał romantyzm, 5) do oprawienia przez jubilera, 6) tak mówiono do panien w czasach Kmicica, 8) hrabstwo angielskie, od którego nazwę wzięła epoka geologiczna, 9) kwiat-symbol stworzenia świata, 10) najlepszy w swej dziedzinie po Disneyu autor „Diabelskiego wynalazku" i „Krabata — ucznia czarnoksiężnika", 15) sieci do zaciągania, 16) mocna pociecha przy słabym akumulatorze, 17) każdy ma swój czubek, 19) klasyczna broń myśliwska Indian z pampasów, 20) hasło reżysera dla aktorów przy rozpoczęciu sceny, 21) gatunek klonu, 23) wyspa dalmatyńska niedaleko Zadaru, 24) znany także z ról w Polsce aktor litewski, 28) paktował z Beginem, 29) brzeg kapelusza, 30) ofiara zbrodni, 31) kocie złoto, 32) kawaleria, 33) klub najlepszych polskich koszykarek, 35) kamizelka ratunkowa, 36) sklejka, 37) najbardziej bezkształtne zwierzęta.

HASŁO POMOCNICZE (pierwsza liczba oznacza numer wyrazu w krzyżówce, liczba po kresce — kolejną literę w tym wyrazie): 37—1, 18—3, 11—4, 31—1, 16—3, 19—3, 3—4, 1—1, 4—2, 16—4, 43—5, 13—2, 32—5, 12—1, 8—4, 9—1, 23—2, 31—6, 40—2, 6—2, 35—3, 38—4, 19—2, 21—3, 32—2, 12—5, 33—3, 32—3, 40—5, 33—1, 24—2, 28—1, 41—7, 14—1, 39—1, 20—3, 3—4, 36—3.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do 28 lipca.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 26

POZIOMO: 2) miniatura, 10) karo, 12) Moissan, 14) naród, 15) Om, 16) „Coma", 17) Józef, 18) Żerań, 20) noks, 22) do, 23) fan, 24) tanina, 27) stek, 30) nikt, 32) piła, 34) wasale, 36) kra, 37) „Tatarak", 40) kar, 42) onager, 44) Etna, 45) parada, 46) dres, 49) RCA, 50) transport, 51) uraz, 53) złaz, 55) Anka, 56) wasąg, 57) UN, 58) Landtag, 60) Ob, 61) Panay, 62) Gide, 63) ramiona, 64) por, 65) kleń, 66) sabat.

PIONOWO: 1) Tanzania, 2) morfina, 3) Nedżd, 4) Amor, 5) tomate, 6) Ui, 7) rse, 8) asonans, 9) „Znak", 11) Rae, 13) amoniak, 19) Eos, 21) seter, 25) apretura, 26) il, 28) tragarz, 29) kwarantanna, 31) klamerka, 33) Sana, 35) AK, 37) topaz, 38) tartan, 39) reda, 41) jarząbek, 43) odpady, 47) ront, 48) Stagira, 51) uwaga, 52) as, 54) Łubań, 58) Laos, 59) Naab, 60) ore, 61) pi, 64) PT (praetermissotitulo).

(Wyjaśnienie do hasła 5: pomodoro oznacza dosłownie „złote jabłko").

HASŁO POMOCNICZE: **Poznański Czerwiec był początkiem gdańskiego Sierpnia.**

Nagrody wylosowali pani **Anna-Teresa Kaszowicz** z Gorlic i pan **Franciszek Pochrzęst** z Popowic. Gratulujemy.

Krzyżówka nr 26 była ostatnią w kwartale — a zatem zakończony został kolejny turniej najlepszych. Wyniki ustalone zostały na samym finiszu: właśnie w ostatniej krzyżówce czyhała pułapka w wyrazach 15 i 3, a poza tym, jak się okazało, nawet najlepsi mieli trudności z wyrazem 33, nowym w języku polskim. To właśnie zadecydowało o utracie I miejsca przez pana Pawlikowskiego, który prowadził od dłuższego czasu, a także o niewykorzystaniu szansy przez panów **Piotra Jabłońskiego** i **Bogdana Olesiaka**, którzy zajmowali IV miejsce. Ostatecznie zdobywcami trzech nagród zostali: jako zwycięzca konkursu — pan **Bogusław Pęcak** z Gorlic, za II miejsce — pan **Jan Pawlikowski** z Krynicy i za III miejsce — pan **Jan Nawrot** z Nowego Targu. Gratulujemy.

Kopalnia Węgla Kamiennego „Siersza"

32-541 Trzebinia, woj. katowickie

przyjmuje **MĘŻCZYZN**

w wieku od 18 do 40 lat, w celu przeszkolenia i przygotowania

DO PRACY POD ZIEMIĄ

Przyjmowanym do pracy gwarantuje się:

- wynagrodzenie wg Układu Zbiorowego Pracy, obowiązującego w górnictwie
- dodatek stabilizacyjny dla podejmujących po raz pierwszy pracę w górnictwie
- specjalne wynagrodzenie z „Karty Górnika"
- deputat węglowy
- nagrody roczne, tzw. „13-ta" i „14-ta" pensja
- pożyczki w wysokości 25.000 zł na zagospodarowanie, jeśli zawierają związek małżeński; po nienagannym przepracowaniu pod ziemią 6 lat, pożyczka ta ulega całkowitemu umorzeniu
- zasiłek w wysokości 15.000 zł po przepracowaniu 3 lat otrzymują absolwenci zasadniczych szkół górniczych i technikum górniczego, którzy ukończyli naukę po 1974 r. Zasiłek ulega umorzeniu po przepracowaniu dalszych trzech lat
- zakwaterowanie w Domu Górnika
- wyżywienie w stołówce zakładowej

Warunkiem przyjęcia do pracy jest:

- dobry stan zdrowia, ukończenie szkoły podstawowej
- przedłożenie: książeczki wojskowej, świadectwa pracy, świadectwa ukończenia szkoły podstawowej, dowodu osobistego oraz legitymacji ubezpieczeniowej z adnotacją o zwolnieniu.

Dojazd do kopalni ze stacji kolejowej Trzebinia autobusami linii nr nr 309 i 310.

Bliższych informacji udziela oraz zgłoszenia przyjmuje **Dział Zatrudnienia KWK „Siersza" w Trzebini, tel. 9, 13, 55, 233 wewn. 571**

*

Ponadto ogłasza, że

Zasadnicza Szkoła Górnicza przy KWK „Siersza" PRZYJMUJE WPISY do klas I na rok szkolny 1981/1982

Warunkiem przyjęcia jest dobry stan zdrowia i ukończenie szkoły podstawowej.

OGŁOSZENIA PRASOWE do tygodnika „Dunajec"

(reklamowe, komunikaty, nekrologi, ogłoszenia „drobne")

PRZYJMUJĄ:

- **Sekretariat redakcji tygodnika „Dunajec" w Nowym Sączu, ul. St. Żółkiewskiego 11, tel. 238-36, 238-90**
- **Oddział redakcji „Gazety Krakowskiej" w Nowym Sączu, ul. Narutowicza 6, tel. 203-34**
- **Biuro Ogłoszeń i Reklam Krakowskiego Wydawnictwa Prasowego Kraków, ul. Wiślna 2, tel. 270-89**

na ekranie TV

17.VII. — 23.VII.

PIĄTEK

PROGRAM I

9.00 Teleferic „Lato z Kasią" (4) — „Lubczyk";
16.55 Program dnia;
17.00 Dziennik;
17.30 Studio zjazdowe;
18.00 „W kręgu rodziny";
18.25 „Wesołe melodie" — film animowany;
18.50 Dobranoc;
19.00 „Skarbiec";
19.30 Dziennik;
20.00 Studio zjazdowe;
20.45 Rolnicze rozmowy;
20.55 „Przyjaciele" (1) — „Krew" pięcioodcinkowy serial filmowy TP;
22.30 Dziennik;
22.45 Studio zjazdowe;
23.15 „Piosenki z trójki".

PROGRAM II

18.55 Program dnia;
19.00 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.00 „Da capo" — program publicystyczno-muzyczny;
20.50 „Wynalazca poszukiwany";
21.20 24 godziny;
21.30 „Uśmiech spod parasola";
22.00 „Horyzont" — „Energia atomowa za i przeciw";
22.30 „W starym kinie" — „Złudzenia życia" — dramat produkcji angielskiej.

★

SOBOTA

PROGRAM I

8.55 Program dnia;
9.00 Kino teleferii — „Przygody psa Cywila";
9.30 Pamięć tamtych wojennych dni — wojskowy film dok.;
10.10 Tańczą soliści Teatru Opery i Baletu im. Kirowa w Leningradzie;
11.00 Siedem anten;
12.15 Klub dobrej książki;
12.45 Program rozrywkowy;
13.40 Gwiazdozbiór — Franciszek Trzeciak;
14.25 Klub 6 kontynentów — Ćwierć wieku temu;
15.25 Więzy krwi — radziecki film obyczajowy;
16.30 Dziennik i studio IX Zjazdu;
17.00 Pamiętnik sza kulis sceny — Ryszarda Hanin;
18.00 Studio IX Zjazdu;
19.00 Telewizja młodych;
19.30 Dziennik;
20.15 Maria Antonina (1) — „Przedsmak królowania" — franc. serial historyczny;
21.35 Piosenki z trójki;
22.40 Dziennik i studio IX Zjazdu.

PROGRAM II

14.00 Studio-2;
18.00 Portret wspomnień (2) — społeczno-obyczajowy film prod. ZSRR;
19.30 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.15 Studio-2 (cd.).

TV BRATYSŁAWA

PROGRAM I

8.20 Pionierska Jaskółka;
11.05 „Panie na Mogadorze" (8);
12.10 Echa mag. dla niesłyszących;
15.00 Mistrzostwa CSRS w pływaniu — transm. bezp. z Bratysławy;
16.00 Letnie rytmy — piosenki z IX Festiwalu Pieśni Politycznej;
16.20 Próba faszystowskiego przewrotu w Hiszpanii;
16.45 „Kij w worku" — czeska opowieść filmowa;
17.55 Sprytniejszy wygrywa;
18.45 „Tata, mama i ja" (7);
19.10 Wieczorynka;
19.30 Dziennik TV;
20.00 Spiewa cała rodzina — progr. rozrywkowy;
21.05 Bramki, punkty, sekundy;
21.15 „Królewski sen" — film ameryk. wg powieści H. M Petrakisa, z udz. A. Quinna i I. Papas;
23.00 Komik i jego świat;
23.30 Taki mały bar — wizyta w barze z nocnym programem.

PROGRAM II

18.25 „Czerwone i czarne" (3);
20.05 F. G. Lorca: „Dom Bernardy Alba" — przeniesienie spektaklu z Teatru im. A. Bagra w Nitrze;
21.50 „W krainie trzech koron";
22.15 Grand Prix Anglii — relacja z MŚ samochodów formuły 1;
23.05 Progr. rozrywk. z udz. N. Urbankowej, M. Rottrowej, K. Duchonia, A. Majewskiej, Ch. Doork, grupy Mortale i innych.

★

NIEDZIELA

PROGRAM I

7.20 Alarm przeciwpożarowy trwa;
7.30 Nowoczesność w domu i zagrodzie;
8.00 Tydzień — magazyn redakcji rolnej;
9.00 Telewizjada;
9.30 Kino teleranka — „Csutek przed mikrofonem" (2);
10.25 Program dnia;
10.30 „Antena";
11.00 „Świat wokół nas" — „W poszukiwaniu wielkiej wydry" — angielski film dokumentalny;
12.00 Dziennik;
12.45 „Bella" program muzyczny;
13.15 „Żniwa 81" — program redakcji rolnej;
13.45 „Z kamerą wśród zwierząt" — „Para, rodzina, stado";
14.15 „W szwedzkim cyrku" — program rozrywkowy;
15.15 Losowanie dużego lotka;
15.30 „Dolna Biebrza" — polski film przyrodniczy;
16.30 Reportaż filmowy;
17.00 „Eksperyment na zamku" — komedia filmowa produkcji NRD;
18.25 „Spojrzenie na świat" — program poetycko-muzyczny;
19.00 Wieczorynka;
19.30 Dziennik;
20.00 „Czarny tulipan" — francuski film kostiumowy;
21.45 Sportowa niedziela;
22.15 „Piękne głosy" — Ryszard Karczykowski.

PROGRAM II

9.45 Program dnia;
9.50 „Rozszumiały się wierzby" — program wojskowy;
10.20 „Przyjaciele" (1) — „Krew" — serial TP;
11.50 „Przeboje tygodnia";
12.50 Wielka gra;
13.45 „Odrodzona ziemia" — film dokumentalny;
14.45 „Popołudnie fauny i flory";
15.30 Teatr wspomnień — Juliusz Słowacki — „Balladyna";
17.40 „Spotkanie z gwiazdą" — Veronika Fischer;
18.25 „Nieliczne towarzystwo muzyczne" — sezon muzyczny w Polsce;
19.30 Dziennik;
20.00 Klub jazzowy Studia Gama — godzina jazzu;
21.00 Spotkanie z pisarzem — Adam Ważyk;
21.45 Filmoteka narodowa — filmy Kazimierza Kutza — „Perła w koronie".

TV BRATYSŁAWA

PROGRAM I

8.20 Chodźcie z nami...;
10.35 Losowanie Sportki;
10.45 „Doktor w domu" (4);
11.10 Zwierciadło tygodnia;
14.45 Mistrzostwa CSRS w pływaniu — transm. z Bratysławy;
16.00 Cyrkowa kawalkada — fragm. występu cyrku Berolina (NRD);
17.05 „Ile słów wystarczy miłości" — film czeski;
18.30 Piosenki z echem — muz. progr. rozrywkowy;
19.10 Wieczorynka;
19.30 Dziennik TV;
20.10 F. Kożik: „Wąż z raju" — cz. II spektaklu biograf. o J. K. Tylu;
21.15 Bramki, punkty, sekundy;
21.30 Wieczór z poetą;
21.55 Problemy twórczości ilustratorskiej;
22.20 Koncert Madrygalistów Praskich.

PROGRAM II

18.40 Tydzień na ekranie;
19.00 Kamera na drogach: „Trypolis", „Oczekiwanie na wieloryba" — filmy dok.,
20.00 Kultura i społeczeństwo;
20.25 Witamy w teatrze — progr. rozrywkowy;
21.40 „Zaskoczenie szefa przedsiębiorstwa" — film z serii „Komisarz Moulin".

★

PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

16.55 Program dnia;
17.00 Dziennik;
17.30 „Droga" (4) — „Pasażer z nożem w kieszeni" (powt. z 1978);
18.25 „Giełda";
18.30 Dom i my;
18.50 Dobranoc;
19.00 „Echa stadionów";
19.30 Dziennik;
20.00 Rolnicze rozmowy;
20.10 Teatr Telewizji — Andrzej Niedoba — „Noc świętojańska";
21.10 „Samotny weekend" — śpiewa Halina Kunicka;
21.45 „Śledztwo zostało wznowione";
22.20 Dziennik.

PROGRAM II

18.35 Program dnia;
19.00 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.00 Kronika uniwersjady;
20.40 Spotkajmy się raz jeszcze;
20.45 „Wronom, słowikom i sobie" — reportaż Urszuli Sityńskiej;
21.00 Rozmowa (1);
21.10 „Owoce rodzi ziemia" — reportaż;
21.25 Rozmowa (2);
21.40 24 godziny;
21.50 Godziny z Mieczysławem Foggiem;
22.40 Rozmowa (3);
22.50 Piosenka.

★

WTOREK

PROGRAM I

9.00 Telelerie;
9.30 Kino teleferii — „Przygody psa Cywila" (2);
16.55 Program dnia;
17.00 Dziennik;
17.30 Program publicystyczny;
18.00 Polska Kronika Filmowa;
18.10 Telewizja młodych C.D.N.;
18.50 Dobranoc;
19.00 „Klinika zdrowego człowieka";
19.30 Dziennik;
20.15 „Ognomistrz Kaleń" — polski film fabularny;
22.05 Teatr wspomnień — Władysław Broniewski — „Wisła" recytuje — Wojciech Siemion;
22.55 Dziennik;
23.10 „Tajemnice muzeów";
23.40 Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

18.35 Program dnia;
19.00 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.00 Kronika uniwersjady;
20.30 „Antykwariat" — „Żywotów królewskich opisanie";
21.00 Wtorek melomana;
22.00 24 godziny;
22.10 Wieczór filmowy — „W starym kinie" — „Mistrzowie komedii filmowych" — „Tajemnice i sensacje małej kinematografii" — „Dziecko w filmie".

★

ŚRODA

PROGRAM I

9.00 Kino teleferii — „Przygody psa Cywila" (3) — „W puszczy";
9.30 STUDIO-2
Studio-2 na dobry początek;
9.40 „Co to jest" — telefurniej dla dzieci;
10.00 W starym kinie — „Zapomniana melodia" film fab produkcji polskiej;
11.25 Wojciech Kilar — „Krzesany" — gra WOSPiRT;
11.45 Uroczysta odprawa wart przed Grobem Nieznanego Żołnierza;
12.35 Kalejdoskop kino oko — w programie: — „Dromader w pustyni Thar" — „Zniszczone zabytki kultury w Czarnogórze" — „Sokolnik";
13.40 „Co słychać w Polsce";
14.40 Program z wozu — reportaż;
15.50 Losowanie express lotka i małego lotka;
16.00 Dziennik;
16.30 „Flesz" — magazyn reporterów;
17.00 Program muzyczny;
18.00 „Medale na licytację" — program publicy styczny;
18.20 „Polska w piosence";
19.00 Wieczorynka;
19.30 Dziennik;
20.00 „Karol Marks — lata młodości" (5) film seryjny produkcji ZSRR/NRD;
21.30 Rozmowa dnia;
21.50 „Zwierzenia przy fortepianie";
22.20 Dziennik;
22.40 Studio sport.

PROGRAM II

13.30 Program dnia;
13.45 Kronika uniwersjady;
14.30 „Ustroń po raz szósty" — konkurs piosenki czeskiej i słowackiej o „Kryształową Lirę";
15.30 Program morski;
16.00 „Uniwersjada" — finały w gimnastyce;
17.00 „W zachwyceniu śpiewana" — program poetycko-muzyczny;
18.00 Film fabularny;
19.30 Dziennik;
20.00 Uniwersjada — lekkoatletyka;
21.30 „Wędrująca szafa" — komedia francuska.

★

CZWARTEK

PROGRAM I

9.00 Kino teleferii — „Przygody psa Cywila" (4) — „Pościg";
16.55 Program dnia;
17.00 Dziennik;
17.30 Informator turystyczny;
17.45 Impulsy — magazyn spraw pracowniczych;
18.15 Z żołnierskiego szlaku — wojskowy program historyczny;
18.50 Dobranoc;
19.00 Sonda;
19.30 Dziennik;
20.15 Aniołki Charliego — Aniołki wśród antyków;
21.00 Pegaz;
21.45 Raport o węglu — Jaka cena?
22.30 Dziennik;
22.45 Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

18.45 Program dnia;
18.50 Przemówienie ambasadora Egiptu;
19.00 Kronika (Kr.);
19.30 Dziennik;
20.00 Studio sport — kronika Uniwersjady — zawody gimnastyczne;
21.20 24 godziny;
21.30 Właściwy człowiek — niech wygra najlepszy;
22.00 Stopklatka;
22.10 Mózg — pole operacyjne.

Za zmiany wprowadzone w ostatniej chwili redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

REPERTUAR KIN

CZARNY DUNAJEC: 21—22 Piąta pora roku (radziecki młodzieżowy), 25—26 Manhattan (USA, komedia); **GÓRLICE:** 22—24 Imperium namiętności (japoński, kostiumowy), 25—27 Gwiezdne wojny (USA, science fiction); **GRYBÓW:** 21—23 Jak żyć? (polski, komedia satyryczna), 25—26 Na tropie Wilby'ego (angielski, sensacyjny); **JORDANÓW:** 21—22 Spotkanie na Atlantyku (polski, psychologiczny), 25—26 Parszywa dwunastka (USA, wojenno-przygodowy); **KROŚCIENKO:** 20—22 Droga daleka przed nami (polski, młodzieżowy), 24—26 Cena strachu (USA, sensacyjno-przygodowy); **KRYNICA:** 22—23 Glina czy łajdak (francuski, kryminalny), 24—25 Coma (USA, thriller medyczny); **LIMANOWA:** 21—22 Jak żyć? (polski, komdia satyryczna), 23—24 Lęk wysokości (USA, komedia), 25—26 Młody Frankenstein (USA, komdia); **LUBIEŃ:** 22 Wściekły (polski, sensacyjny), 26 Idealna para (USA, komedia satyryczna); **ŁABOWA:** 25—26 Ojciec Królowej (polski, młodzieżowy); **MSZANA DOLNA:** 21—22 Gra ciałem (CSRS, dramat psychologiczny), 23—24 Transamerican express (USA, sensacyjny), 25—26 Zemsta różowej pantery (angielski, komedia); **MUSZYNA:** 21—23 Akwanauci (radziecki, sensacyjny), 24—26 Żandarm na emeryturze (francuski, kryminalny); **NOWY SĄCZ:** Podhale — 21—28 Miś (polski, komedia); **NOWY TARG:** 20—22 Tak szalona, że może zabić (francuski sensacyjny), 23—24 Ciosy (polski, młodzieżowy), 25—26 Jego kobiety (NRD, dramat społeczny); **PIWNICZNA:** 21—23 Czwarte zwycięstwo (radziecki, młodzieżowy), 24—26 Port lotniczy (USA, sensacyjny); **PORONIN:** 21—23 Brat kata (NRD, historyczno-przygodowy), 24—26 Ebirah potwór z głębin (japoński, sensacyjny); **RABKA:** 21—22 Ucieczka z domu (CSRS, młodzieżowy), 23—26 Indeks (polski, psychologiczno-społeczny); **RYTRO:** 21—22 Niebezpieczeństwo (CSRS, młodzieżowy), 25—26 Cena strachu (USA, sensacyjno-przygodowy); **STARY SĄCZ:** 21—23 Porwanie Savoi (polski, sensacyjny), 25—26 Konwój (USA, przygodowy); **SZCZAWNICA:** 21—23 Indeks (pol., psychol.-społeczny), 24—26 Dziedzictwo (angielski, horror); **TYMBARK:** 21 Ojciec Sergiusz (radziecki, kostiumowy), 25—26 Cenny depozyt (francuski, komedia); **ZAKOPANE:** 21—23 Wierna żona (francuski, kostiumowo-miłosny), 24—26 Bitwa o Midway (USA, wojenny).

(w)

DUNAJEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Krzysztof Dobosz (sekretarz redakcji), Krzysztof Dybel (z-ca sekretarza redakcji), Adam Garbicz, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Antoni Kroh, Jerzy Leśniak, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Franciszek Pałka (redaktor graficzny), Krzysztof Podbiera (redaktor techniczny), Stanisław Śmierciak (fotoreporter). Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, ul. St Żółkiewskiego 11 Telefony: 238-36, 238-29 Telex: 0322748 Oddział w Krakowie: ul Wielopole 1, pok. 58, telefon 203-29, 275-88 wewn. 238 Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie. ul. Wiślna 2. Druk: Zakłady Poligraficzne RSW w Krakowie. ul Wielopole 1

Ogłoszenia przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń ul Wiślna 2, 31-007 Kraków, telefon: 270-89 oraz wszystkie Biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch" na terenie całego kraju Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch". Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw. ul. Towarowa 23 00-958 Warszawa. konto NBP XV Oddział w Warszawie. nr 1153-201045-139-11 Nr indeksu 35657 F-8.

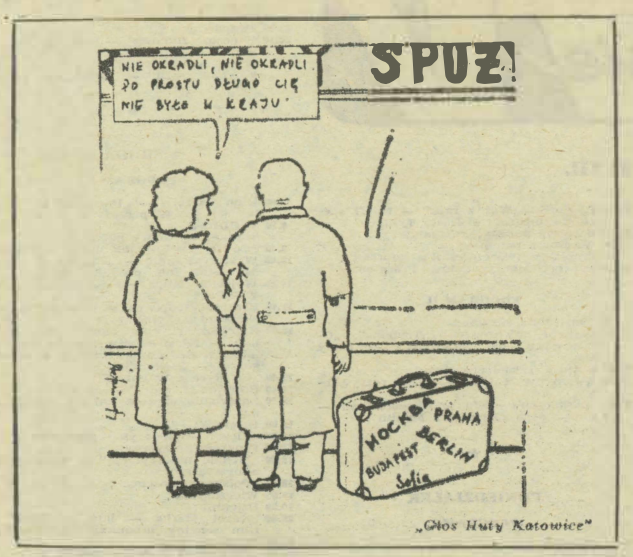

„Głos Huty Katowice"

CIEKAWOSTKI

MĄDRY WYROK

W całych Włoszech z uznaniem przyjęto wyrok jednego z sędziów z Mediolanu. Prowadził on sprawę przeciw koncernowi chemicznemu, który wypuszczając ścieki do rzeki Adda wytruł w połowie ubiegłego roku wiele ryb.

Prócz wysokiej kary pieniężnej, sędzia nakazał koncernowi zarybić parokilometrowy odcinek rzeki. Nie było rady. Koncern musiał zatrudnić u siebie specjalistę od hodowli ryb.

A może by tak i u nas?...

WIĘZIENIE ZA NIEWINNOŚĆ

Obywatel amerykański Aron Owens odbył karę 8 lat więzienia. Został on skazany za podwójne morderstwo, dokonane razem z gangsterem Glenem Bailey. Obydwaj zostali rozpoznani przez świadków. Owens od początku twierdził, że jest niewinny, ale jego domniemany wspólnik Bailey uparcie milczał.

Dopiero ostatnio, gdy Owens przesiedział już 8 lat, Bailey złożył dodatkowe zeznanie, z którego wynika, że morderstwa dokonał z zupełnie innym człowiekiem, bardzo podobnym do Owensa. Niewinny człowiek został wypuszczony z więzienia.

KOBIETY W MAFII!

Mafia na południu Włoch była organizacją wyłącznie męską. Policja stwierdziła jednak ostatnio, że do mafii należą również kobiety i że z każdym rokiem jest ich coraz więcej!

Zaczęło się od tego, że kobiety czasem zastępowały odbywających karę więzienia mężczyzn. Teraz są już prawdziwymi „mafioso". Ostatnio np. skazano 10 członkiń mafii za udział w uprowadzeniu ludzi. Obecność kobiet w „męskich sprawach" nie uchodzi bezkarnie: w krwawych porachunkach mafii coraz częściej i one padają ofiarą zemsty.

Uśmiechnij się

Szejk w domu mody

Szejk na pokazie paryskiej mody zwraca się do dyrektora: Gdy mówię, że kupuję całość kolekcji, mam na myśli również modelki..."

Przyjaciółki w kawiarni

— Wiesz, mój mąż wspaniale radzi się na kuchni!

— Teraz już rozumiem, dlaczego tak rzadko jada w domu.

Pisarka i gwiazda na przyjęciu

Gwiazdę Hollywoodu posadzono na przyjęciu obok znanej powieściopisarki. Obie panie nie przepadają za sobą.

— *Pani ostatnia powieść bardzo mi się podobała* — mówi słodko gwiazda — *ciekawam, kto ja pani napisał?*

— *Cieszy mnie bardzo uznanie dla mojej książki* — odpowiada pisarka — *ale ciekawam, kto ja pani przeczytał?*

Celnik i turysta na granicy

Celnik na granicy — *Koniak? Whisky?*

Pasażer — *Nie, dziękuję. Rano nie piję.*

WYBRAŁA BEATA DEMBOWSKA

ROZMAITOŚCI

— *Więc jakie są granice absolutnej szczero...*

Rys. SZYMON KOBYLIŃSKI

Prasa zagraniczna

W Indiach zanosiło się na starcie zbrojne między dwiema wrogimi grupami Sikhów. Ostatecznie udało się konflikt załagodzić, ale poczucie honoru Sikhów wymaga, aby doszło do rozlewu krwi w tego rodzaju sporach. Stanęło na tym, że każdemu mężczyźnie pobrano po pół litra do „banku krwi".

„New York Herald Tribune"

Aby łatwiej pojąć różnicę między systemem angielskim a metrycznym, trzeba mieć na uwadze, że litr to jest prawie to samo co metr — tyle tylko, że wilgotniejszy.

„Daily Mirror"

Pan Nigel Napier-Andrews wstąpił w związki małżeńskie. Pan NapierAndrews jest autorem książki „Dobrze zjeść i zostać kawalerem".

„Canadian Reader"

Wchodząc do salonu wziętego fryzjera damskiego, usłyszałam jak pewna klientka żaliła się głośno przy kasie: *czyż nie uważa pan, że cena jest zbyt wysoka za trochę tych włosów, które mi pan obciął?* Odrzekł wzburzony mistrz grzebienia: „Szanowna pani, ja jestem jak rzeźbiarz. Jak każdy rzeźbiarz, jestem bowiem płatny nie za to, co odłupałem od bryły, ale za to, co zostaje..."

„Reader's Digest"

Gabriel Laub

Program błazna

Pewien król z królów Orientu miał błazna. I kochał go, ponieważ znali się od dziecinnych lat, kiedy to jeszcze — w zabawie — synowi błazna pozwalano udawać króla, a synowi króla udawać błazna.

Mimo to ów błazen sprawiał mu wielkie kłopoty.

A właściwie nie tyle błazen — królewski błazen, który przeżył trzydzieści lat na dworze i niczego mu nie ucięto, z pewnością nigdy nie sprawiał kłopotów królowi — ile jego program.

A właściwie nawet nie tyle program — możecie sobie wyobrazić, jak ostrożny był to satyryk, skoro tak długo był królewskim ulubieńcem, a nikt mu przez ten czas nie wsypał trucizny do wina — ale jego zatwierdzanie.

Program, naturalnie, wymagał zatwierdzenia, aby nie było w nim jakichś nieprzystojności: po pierwsze dlatego, że przeznaczony był dla najdostojniejszych uszu i uszu Jego Królewskiej Mości, a po drugie dlatego, że przeznaczony był nie tylko dla owych najdostojniejszych uszu i uszu.

Problem polegał na tym, kto go ma zatwierdzać.

Kto? Byłoby to niezgodne z prawem i w najwyższym stopniu obraźliwe, gdyby jakiś tam minister miał decydować, co królowi wolno, a czego nie wolno oglądać.

Sam król? Po pierwsze — nie chciałoby mu się już potem oglądać tego programu. Po drugie — wysłuchałby oto wszelkich nieprzystojności, przed którymi miała go ochronić procedura zatwierdzania. Potem byłoby już rzeczą zbyteczną cokolwiek skreślać, ponieważ nieprzystojności, których mógł wysłuchać sam władca, mogą spokojnie wysłuchać również jego dworzanie.

A więc jednak któryś z ministrów? Nawet, gdyby pominąć kwestie prestiżowo-prawne — który minister mógłby to w ogóle być? Ministrowi policji powierzyć tego nie było można. W programie błazna nie było niczego niewłaściwego — czyli nie byłoby powodu do interwencji, a minister policji nie zniósłby takiej hańby. Na pewno byłby coś uknuł, choćby z przyzwyczajenia. A przecież król nie chciał stracić swojego błazna.

Minister kultury i sztuki w królestwie nie istniał. Z tej branży miał na dworze tylko błazna, prócz tego jeden etat czarnoksiężnika-wróżbity, na ogół wakujący, bowiem po każdej złej wróżbie zwalniał się przez ścięcie, a poza tym już tylko trzydzieści muzykantek i tancerek, należących do resortu Wielkiego Eunucha.

A więc najodpowiedniejszym byłby Wielki Eunuch — ale król lubił pikantne żarty, podczas gdy Wielki Eunuch był bezkompromisowym strażnikiem moralności.

Problem był nierozwiązywalny.

Błazen miał więc gotowy program, ale nie mógł z nim wystąpić. Nie był co prawda zakazany, ale nie był również zatwierdzony. Paradował więc tylko w błazeńskim stroju, brzękał dzwoneczkami i fikał koziołki.

Być może właśnie dlatego mógł błaznować bez wypadku przez trzydzieści lat.

Ale wciąż było mu przykro, że jego dowcipnych, głęboko przemyślanych programów nikt nie zobaczy.

Sytuację można by zapewne uratować w ten sposób, że program błazna zatwierdzałaby cała rada ministrów, ale jakże czułby się król, gdyby wszyscy ministrowie wysłuchali tych największych nieprzystojności, a on jeden nie. Zresztą, gdyby rada ministrów obejrzała cały program z góry, błazen nie miałby już prawie żadnej publiczności.

Problem był rzeczywiście nierozwiązywalny.

A teraz my, towarzysze, wznieśmy puchary i wypijmy za umasowienie kultury, które ułatwia, przynajmniej częściowo, rozwiązanie tego problemu.

Przełożył ANTONI KROH